

Prolog

Z początku chciałbym opowiedzieć o świecie, w którym przyszło mi żyć. Planeta Sesugg była światem pięknym, o bujnej roślinności i zróżnicowanym klimacie. Zaledwie 50% jej powierzchni pokrywała woda, ale była to tylko i wyłącznie słodka woda. W świecie Sesugg istniała magyia - tyle, że w moim kraju była zabroniona pod groźbą śmierci. Szkoły magyi dzieliły się na - magię energetyczną, druidyczną, chaosu, goecję i nekromancję. Magowie Chaosu i druidzi mogli wybrać własny żywioł, który dawałby im siłę. Właściwie to źle się wyraziłem - żywioł był adeptom nadawany przez ich własne wnętrza. Ogólny postrach w moim świecie budzili magowie energetyczni, którzy posługiwali się dziwną siłą - prądem elektrycznym. Czym natomiast jest Chaos? Jest to szkoła magyi, w której "Nic nie jest Prawdą i wszystko jest dozwolone". Działa na poziomie ludzkiej podświadomości, wymagając od adeptów wchodzenia w rozmaite transy magiczne. Wielu używa w tym celu pewnych środków, zwanych "ziele transowe". Na Ziemi nazywa się to "marihuana". Oprócz tego do Chaosu należą też magowie-wojownicy. Ci wchodzą w specyficzny rodzaj transu, zwanego szalem bojowym, przyspieszającego ich ruchy o 200% i zwiększającego siłę o 100%. Używają w tym celu środków znanych na Ziemi jako „kofeina” i „amfetamina” sporządzanych przez alchemików. Nieoficjalnie mówi się też o ziemskiej heroinie, ale

osobiście nie miałem okazji tego sprawdzić. Co się tyczy druidyzmu nie trzeba chyba wyjaśniać. Jest to po prostu magia natury. Nekromancja zajmuje się śmiercią - polega na powoływaniu do powtórnego życia tego, co kiedyś zmarło. W ten sposób powstają zombie, duchy, chodzące szkielety i inne nieumarłe towarzystwo. Zazwyczaj maga można przyporządkować do którejś z tych szkół magii. Można znaleźć kilka wyjątków od tej reguły. Jednym z nich jestem ja sam. Władam zarówno magią chaosu jak i nekromancją. Co się tyczy religii, to Ziemia nie różni się zbyt od Sesugg. My także mamy jednego Boga, zwanego Tepar, który zesłał Mesjasza, którego dla wygody będę nazywał Feumafem. Jego imię w moim języku byłoby bowiem zbyt trudne do wymówienia przez Ziemian. Właśnie z tej religii się naśmiewałem, za co zostałem wygnany. Mojej banicji zawdzięczam wyrwanie się z religijnej ciemnoty kraju, w którym wszyscy leżeli plackiem w świątyniach modląc się od rana do wieczora. A trzeba wam wiedzieć, że byłem swego czasu nawet kapłanem - z czystej chęci zysku i władzy. Jednak nie podobała mi się ta funkcja. Po rezygnacji i wydaniu mojej "heretyckiej" książki o tytule "Gdzie byli Tepar i Feumaf, kiedy była wojna?" zostałem wygnany z kraju. I dobrze.

Rozdział I - Początek Wszystkiego

Zostałem wezwany do miejskiego gmachu sądu. Było to wielkie, siwe gmaszysko o wysokości około trzydziestu metrów i w stylu antycznym. Sprawa przeciwko mnie została wysunięta przez Kościół. Stałem za ławą oskarżonych czekając na wyrok. Zapadła potworna cisza, po czym usłyszałem głos sędziego:

- Rakacie z Agrijetu, zostałeś uznany winnym głoszenia herezji na temat istnienia Teparu. Swoimi poglądami niszczysz nasze doskonałe społeczeństwo. Wobec twej kapłańskiej przeszłości nie jest możliwe skazanie cię na śmierć. Dlatego zostajesz skazany na dożywotnią banicję. Proszę odwieźć oskarżonego do granic kraju. Po tych słowach dwóch strażników złapało mnie za barki i kopiąc i popychając wsadziło do rydwanu. Odwieźli mnie do granicy po czym kazali mi wysiąść.

- Paszoł won heretycka świnio! – rzekł jeden z nich po czym dał mi kopniaka w rzyć na pożegnanie. Dookoła mnie malował się niezbyt przyjazny górski krajobraz. Jest to charakterystyczne dla wschodniej części Wielkich Łądów, w której leży Agrijet. Ostro zakończone szczyty wyglądają bardzo odpychająco. Nie mogąc wrócić do kraju rozpocząłem poszukiwania noclegu. Zmierzałem do lasów Quinry, gdyż była to najbliższa wolna „noclegownia”. Odległość, którą musiałem przebyć to zaledwie dwadzieścia kilometrów. Do żadnej karczmy w promieniu stu kilometrów nie miałem po co iść. Nie z

moją reputacją. Byłem już na granicy lasu, kiedy drogę zagrodzili mi bandyci.

- Dawaj swoje złoto, bo inaczej pogadamy! – zagroził herszt szajki.

Nie miałem zamiaru rozstawać się ze swoim złotem, a bandytów było tylko trzech. Byli ubrani na czarno, z kapturami na głowach. Przyłożyłem hersztowi kopniakiem w nos i rzuciłem się do ucieczki. Uciekałem w głąb lasu, lecz zza drzew wyskoczyło jeszcze pięciu uzbrojonych w krótkie miecze rzeźmieszków.

Panowie, może się jakoś dogadamy!? – wrzasnąłem wystraszony. Jakoś nie byli zbyt chętni do rozmowy. Dostałem, jak to się u was mówi, wpierdol i straciłem pieniądze. Przytomność zresztą też. Obudziłem się dopiero w nocy, z powodu wspomnianej już ulewy. Zbudowałem sobie szałas, w którym mieszkałem przez miesiąc. Szałas mój był dosyć ładny i przestronny, pokryty liśćmi drzew i wzmocniony gliną. Brakowało mi w nim tylko ogrzewania. Dach trochę przeciekał, ale ja przecież uwielbiam wodę. Mniej więcej po miesiącu wracając z polowania ujrzałem piękną dziewczynę zbierającą w moim lesie jakieś zioła i grzyby. Ubrana była na biało, włosy blond, a oczy niebieskie. Zaciekawiony podszedłem do niej.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale po co ci te grzyby? Przecież są niejadalne. – spytałem. Nie odpowiedziała.

- Zapomniałaś języka w gębie? – zdziwiłem się.

- Nie, ale po co miałabym odpowiadać jakiemuś żebrakowi? – odparła.

- Nie jestem żadnym żebrakiem, tylko banitą – powiedziałem.

- Dla mnie możesz sobie być nawet hrabią, ale jak się nie odczepisz to użyję siły – rzekła. Zastanowiłem się chwilę nad tą śmieszną groźbą.

- Jakiej siły mogłabyś niby użyć? – spytałem.

- Xiqal arunax! – wrzasnęła i potężna fala uderzeniowa z powietrza uderzyła we mnie, przyprawiając o omdlenie. Obudziłem się w swoim szałasie. Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym co się stało, ponieważ moja niedoszła agresorka weszła do szałasu z jakimś naparem z ziół.

– Pij – powiedziała. Wypiłem duszkiem zawartość łupiny po orzechu kokosowym i od razu poczułem się lepiej.

- Przepraszam, nie wiedziałam – powiedziała.

- O czym? – spytałem.

- Jak to, nie wiesz? Ile ty masz lat? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Siedemnaście, a co to ma do rzeczy? – rzekłem.

- I nie wiesz? – spytała.

- O czym? - zacząłem się denerwować.

- Jesteś magiem – odparła.

- Że jak? Kim? Pochodzę z kraju, w którym magów pali się na stosie. – zdziwiłem się.

- I jeszcze żyjesz - rzekła - Niewątpliwie masz duże szczęście.

No super - pomyślałem - Teraz dowiaduję się, że jestem magiem.

- A kim ty niby jesteś, że tyle o mnie wiesz? - spytałem zaciekawiony nie na żarty.

- Jestem Xaomea, druidka z okolicznych lasów. - odparła.

- Ja także się nie przedstawiłem - powiedziałem - Rakat z Agrijetu, heretyk wygnaniec, miło mi.

- No cóż, Rakacie, jesteś jeszcze bardzo słaby, idę nazbierać więcej ziół na napar. - stwierdziła, bardzo mądrze zresztą.

- W takim razie ja położę się spać. - powiedziałem po czym zapadłem w drzemkę. Przez kolejny tydzień leczyłem się z ran zadanych mi przez zakłęcie Xaomei, pod baczny okiem druidki. Kiedy po upływie wyżej wspomnianego czasu byłem dość sprawny aby podróżować, moja wybawicielka przyprowadziła dwa konie.

- Jedziemy do lasu druidów - powiedziała. Zabrzmiało to jak rozkaz, a poza tym nie miałem nic do stracenia.

- Możemy jechać, wszystko mi jedno - odparłem.

- Doprawdy, niezwykły z ciebie mag - rzekła, po czym wsiedliśmy na konie. Podróżowaliśmy przez trzy dni, prowadząc długie rozmowy dla zabicia czasu. W ich trakcie dowiedziałem się, że Xaomea wie, że jestem magiem ponieważ przeżyłem jej zakłęcie, a także kilka ciekawych rzeczy o swoim wyglądzie. Otóż mam naturalnie żółte oczy, białą skórę i czarne włosy. Mam metr siedemdziesiąt wzrostu i jestem bardzo chudy. Jest to mieszanka zadziwiająca, w dzieciństwie przezywano mnie "zombie". Dowiedziałem się, że taki wygląd daje naturalne uwarunkowania do nauki magii nekromantycznej. Xaomea nie mogła tylko nijak wytłumaczyć dlaczego moje oczy są koloru żółtego, chociaż powinny być czerwone.

- Czy masz chaoty, a ciało nekromanty - rzekła. - Jutro przybędziemy do lasu druidów, gdzie zajmą się tobą mądrzejsi ode mnie. - stwierdziła. Nie odpowiedziałem.

Rozbiliśmy obóz, zjedliśmy kolację i poszliśmy spać.
Rano obudził mnie potężny ryk.
- Rakacie uważaj! To Warak! - krzyknęła moja druidka.
Warak to duży stwór o sześciu łapach i długim ogonie.
Zachowuje się podobnie do rosomaków z waszego świata, zabijając wszystko co napotka. Dostałem potężne uderzenie łapą i wpadłem do pobliskiego jeziora.
Xaomea rozpaczliwie rzucała kolejne czary, a zwierzę rzuciło się za mną do wody. Prerażony spojrzałem w paszczę olbrzymiego stwora przygniatającego mnie do dna. Byłem całkowicie przekonany o mojej rychłej śmierci.
- Złaż ze mnie chędożony psie wojny! - krzyknąłem, chociaż pod wodą był to bełkot. Zwierz zaczął się topić. Wyglądał tak, jakby coś przygniatało go do dna. Po kilku sekundach rozpadł się na kawałki zabarwiając wodę na czerwono. Wypłynąłem na powierzchnię i wyszedłem na ląd.
- Dziękuję, twoje zaklęcie poskutkowało, jestem ci winien życie - powiedziałem.
- Ale to nie ja! - krzyknęła zdziwiona Xaomea.
- Więc kto? - spytałem nie mniej zdziwiony.
- Ty sam. - powiedziała. Przemilczałem to i nie uwierzyłem. Odpoczęliśmy i ruszyliśmy w dalszą drogę. Minęła nam bez problemów i po dwóch dniach stanęliśmy na granicy lasu druidów.

Rozdział II - Las Druidów

Las druidów to bardzo interesujące miejsce. Wszyscy są tu dobrzy dla innych, wszyscy sobie pomagają. Przyprawiało mnie to o mdłości, ale korzystałem z gościny leśnych magów. Krajobraz nie odbiegał od charakteru mieszkańców - wprost cukierkowo piękne lasy z bujną, kolorową roślinnością. Jedno trzeba przyznać druidom - potrafią się dobrze bawić. Po tygodniu spędzonym na spaniu za dnia i tańczeniu w świetle ogniska w nocy do mojego szałas weszła Xaomea, budząc mnie z drzemki w środku dnia.

- Wielki Druid chce cię widzieć. - powiedziała
- Ale ja nie chcę widzieć Wielkiego Druida. Chcę spać i nie mam mu nic do powiedzenia. - odparłem. Szybko przekonałem się, że to co mówi władca druidów jest w tym lesie święte i stanąłem przed jego obliczem.
- Ach, więc to ty jesteś Rakat z Agrijetu, mag nie mający pojęcia o swoim potencjale i wygnany heretyk. - rzekł Wielki Druid.
- Dużo o mnie wiesz, panie. - powiedziałem. Lepiej tak się do niego zwracać.
- Formalności są zbyteczne, nie jesteś moim poddanym, magu. Na imię mi Oclo. - odparł.
- Dobrze więc, Oclo, powiedz mi, dlaczego mnie tu sprowadziłeś? - spytałem.
- Odpowiedź jest prosta, drogi Rakacie. Jako pilnujący dobrej sprawy druidzi nie możemy pozwolić, aby nie potrafiący kontrolować własnej mocy mag wafęsał się po świecie. Dlatego zdecydowałem, że należy cię szkolić. - dostałem wylewną odpowiedź.

- I zapewne któryś z druidów stanie się teraz moim nowym mistrzem? - spytałem. Było mi wszystko jedno, moi gospodarze dawali mi utrzymanie, a ja nie miałem perspektyw poza odnalezieniem mitycznego przejścia do innego świata, więc mogłem tam zostać do usranej śmierci.

- Spójrz na siebie. - rzekł Wielki Druid. Nie zauważyłem niczego szczególnego. - Masz skórę białą jak mleko, oczy żółte jak słońce w południe. - ciągnął. - Nie będzie z ciebie druida i nie druid może cię uczyć. Poszukamy ci mistrza, a tym czasem możesz dalej korzystać z naszej gościny.

- Niechaj i tak będzie - powiedziałem ucieszony perspektywą darmowego mieszkania. Życie u druidów jest bardzo nudne, ale i wygodne. W dzień spałem a w nocy ucztowałem przy ognisku. Po kilku tygodniach zapragnąłem iść na polowanie. Chciałem się trochę rozerwać. Zabrałem więc swój łuk i strzały i poszedłem do lasu kawałek od osady. Nie dane mi było długo czekać, kiedy zza drzew wyskoczył piękny jeleni.

- Będzie z niego kawał dobrego mięsa, odwdzięczę się druidom za gościnę - pomyślałem, po czym przymierzyłem się do strzału. Grot wbił się prosto w serce zwierzęcia, powodując prawie natychmiastową śmierć. Zadowolony z siebie z jeleniem na barkach wróciłem do osady. Zauważył mnie Wielki Druid.

- Gdzie go znalazłeś? - zapytał.

- Nigdzie, upolowałem go. Tym oto łukiem. - odparłem triumfalnie pokazując swą broń.

- Czy byłeś głodny? Źle cię tu karmimy? - spytał zdziwiony druid.

- Nie, skądże, chciałem po prostu trochę się rozerwać. Poza tym potrzebna mi nowa skóra na ubranie. -
rzekłem. Wśród zebranych usłyszałem dziwne podszeptywania. Wielki Druid zrobił taką minę, jakby miał mnie za chwilę zabić.
- Ty morderco! Chcesz powiedzieć, że zabiłeś niewinne zwierzę dla głupiej skóry i swojej chędożonej przyjemności? Odpowiadaj! - zaczął się drzeć.
- No... tak. - odparłem zmieszany.
- Jesteś niegodny przebywania w tym lesie! Jutro masz go bezzwłocznie opuścić! Ciesz się, że cię nie zabiję, ale myślę, że jesteś za głupi żeby zrozumieć moją decyzję. -
rzekł Wielki Druid. - Zejdź mi z oczu! - dodał na zakończenie.

Nie byłem za głupi, dobrze wiedziałem o co mu chodziło. Druidzi żyją w zgodzie z naturą, zabijając tylko dla pożywienia. Ubierają się w tkaniny roślinne. Zapomniałem o tych świętych zasadach, wychowany w mieście prostych ludzi. Cóż, jedyne co mi pozostało to pożegnać się z Xaomeą i iść spać aby być wypoczętym przed podróżą. Już chciałem iść do jej namiotu kiedy przyszła do mnie.

- Witaj, mam nadzieję, że nie jesteś zły - powiedziała
- Jestem, ale tylko na siebie, ponieważ znałem obowiązujące tu zasady i nie podporządkowałem się im.
- odparłem.
- Cóż, przykro mi, ale złamałeś nasze prawo i zgodnie z wyrokiem Wielkiego Druida zostaniesz wygnany. -
rzekła z żalem w głosie.
- Mówi się trudno, może przynajmniej znajdę sobie nauczyciela magii. - powiedziałem jakoś bez zmartwienia.

- Wobec tego żegnaj, zobaczymy się rano jak będziesz wyjeżdżał. Dobranoc.
- Dobranoc - odpowiedziałem.
Rano obudził mnie Wielki Druid.
- Dostaniesz od nas konia i prowiant na drogę, a potem masz się wynosić. - rzekł. Treściwa wypowiedź, nie ma co. Co miałem zrobić? Zabrałem łuk ze strzałami, ubrania i inne moje rzeczy po czym poszedłem do granicy osady. Tu spotkałem Xaomeę, Oclo i innych druidów. Otrzymałem obiecane konia i prowiant.
- I módl się, żebyś mnie więcej nie spotkał. Niechaj Tepar ma cię w swej opiece. - rzekł Wielki Druid. Wybuchłem śmiechem.
- Jeszcze tu wrócę i wtedy zobaczymy, gdzie jest ten twój chędożony Tepar. - odparłem, po czym odjechałem. Mając oczywiście nadzieję, że więcej nie ujrzę Lasu Druidów, do którego nijak nie pasowałem.

Rozdział III - Moja Krypta

Oddalając się coraz bardziej od lasu druidów, z łukiem na ramieniu i resztkami prowiantu w jukach dotarłem do krańca lasów Quinry. Zmierzałem dalej na zachód, mając nadzieję na jakieś lepsze życie. Na Sesugg świat jest bardzo interesujący - tam, gdzie kończy się piękny las zaczynają się ponure bagna. Smród gnijących szczątków uderzył mi do nosa, porażając zmysł węchu na długie godziny. Koń kroczył już w błocie po kolana, kiedy ujrzałem miasto. Byłem około stu pięćdziesięciu kilometrów od rodzinnego Agrijetu, wobec tego istniała nadzieja, że wieści o moich wyczynach na tle religijnym jeszcze tu nie dotarły. Zdecydowałem się więc wjechać. Miasto było zbudowane dosyć ciekawie. Wzniesione na potężnych belkach utrzymujących je ponad powierzchnią bagien. Wyobrażałem sobie, że jego mieszkańcy muszą nie mieć nosów - w przeciwnym razie nie wytrzymałoby wszechobecnego smrodu. Budowle były drewniane i dość niewysokie. Najwyższa, czyli ratusz miała zaledwie trzy piętra. Taki sposób budownictwa można wyjaśnić poprzez znajomość fizyki. Trujące gazy znad bagien unoszą się przecież do góry. Podjąłem męską, odważną decyzję o podejściu do bram miasta. Drogę zagroził mi strażnik.

- Czego tu? Kim jesteś i po co przybywasz? - krzyknął chrapliwym głosem. Swoją drogą wyglądał dosyć ciekawie. Miał na sobie skórę jakiegoś zwierzęcia, a na nogach buty do kolan z bliżej nieokreślonego materiału. Głowę przykrywał mu fikuśny kapelusik o niezliczonej

liczbie kolorów. Komizmu dodawały mu jeszcze nienaturalnie duże zęby i wylupiaste oczy.

- Jestem Rakat z Agrijetu, podróżny, mam nadzieję znaleźć tu jakiś nocleg. - odparłem. Moje żółte oczy wyraźnie zrobiły na nim wrażenie, bo gapił się w nie jak w obraz. Nie przeszkadzało mu to zapytać:

- A masz pieniądze?

- Nie, ale zamierzam zarobić - powiedziałem, nawet nie zaskoczony pytaniem.

- Żadni włóczędzy nie będą tu spać na ulicach, ale podobasz mi się i może cię wpuszczę. - rzekł. Miałem złe przeczucia, ale nie było wyboru.

- Dobra, co mam zrobić? - spytałem

- Nic wielkiego. Po prostu znaleźć sobie nocleg, a potem przyjść do mnie i powiedzieć o tym. Wtedy pozwolę ci zostać. Jeśli okaże się że nie znalazłeś sobie karczmy na noc - zostaniesz wyrzucony z miasta natychmiastowo. - stwierdził. Aż dziwne, że taki tępak sklecił tak długie zdanie.

- Niech będzie - zgodziłem się. - nie znalazłbyś mi może jakiejś pracy? - dodałem.

- Pogadaj z lokalnym grabarzem, u niego zawsze jest robota. - odparł i otworzył bramę.

Zgodnie z zaleceniem strażnika skierowałem się na miejscowy cmentarz. Miasto było zamieszkane w większości przez jautów - inteligentną rasę o pokrytej bąblami zielonej skórce. Ich budowa anatomiczna przypominała ludzką, tyle że byli niżsi - mierzyli około metr pięćdziesiąt. Po dotarciu na cmentarz grabarz sam mnie zauważył. Nie jest to dziwne skoro byłem najwyższą, do tego jedyną bladą istotą w mieście.

- Co sprowadza człowieka na mój cmentarz? - spytał grabarz.

- Słyszałem, że masz tu jakąś pracę. - powiedziałem.

- Owszem. Dostaniesz sto sztuk złota za zniszczenie starych grobów w nieużywanej części nekropolii. - rzekł.

- Taka fortuna za rozwalenie kilku nagrobków? - spytałem zdziwiony.

- Musisz wiedzieć, że nikt nie chce zapuszczać się na tamte tereny. Legenda głosi, że kiedyś żył tu nekromanta, który pozostawił po sobie armię nieumarłych szkieletów. - odpowiedział.

- Nie wierzę w takie bajki. Daj mi sprzęt, a wykonam pracę. - odparłem.

- Masz tu więc miecz, łopatę i siekierę. Powodzenia. - rzekł i odszedł.

- Chwila, a po co mi miecz!?! - krzyknąłem coraz bardziej zdumiony.

- Na szkielety! - wrzasnął i zamknął się w swojej kaplicy.

Odłożyłem miecz na ziemię jako zbędny sprzęt i udałem się we wskazane miejsce. Nagrobki były drewniane, a siekiera ostra, więc robota szła bardzo łatwo. Porąbać nagrobek, rozkopać grób i tak w kółko. Po dwóch godzinach pracy znalazłem otwartą, kamienną kryptę. Jej wystająca na powierzchnię część miała około dziesięciu metrów, ściany były pokryte bogato rzeźbionymi runami. Nad wejściem widniał świecący własnym, złocistym światłem pentagram. Z siekierą w dłoni wszedłem do środka. Zapaliłem starą pochodnię i oczom moim ukazał się niezwykle widok - pośród porzucanych kości leżała nienaruszona trumna, przy ścianie stała półka z książkami, a na środku sali stał stół i fotel wykonany z

ludzkich i jaucich kości. Wziąłem z półki księgę zatytułowaną "Podstawowe zaklęcia nekromantyczne". Wtedy już wiedziałem, że legenda o magu śmierci jest prawdą. Usiadłem na kościanym fotelu i zacząłem czytać. Dowiedziałem się, że magiem może być każdy, ale nekromantą już nie. Trzeba mieć do tego naturalne predyspozycje. Które, jak już wcześniej mówili mi druidzi, posiadam. Zabrałem się więc do dalszego czytania, z zamiarem nauczenia się tylko kilku podstawowych zaklęć. Niestety, jak to bywa przy dobrej lekturze, eksperymentując z magią "zła" spędziłem czas do wieczora, sięgając po kolejne księgi. Kiedy skończyłem, było już zbyt późno, żeby wrócić do miasta. Wobec tego postanowiłem spędzić noc śpiąc w starej trumnie. Nad ranem obudził mnie chrapliwy, dudniący głos.

- Czy jesteś moim nowym panem? - spytała niewysoka istota o wystających kościach, bladej skórze i wybrakowanym uzębieniu.

- A kim ty jesteś? - odpowiedziałem pytaniem.

- Nie pamiętam jak się nazywam, mój były władca, Sh'Julqoy, wielki nekromanta, powołał mnie do powtórnego życia. - odpowiedział stwór.

- Jesteś więc zombie? I uważasz mnie za swego władcę?

- spytałem przerażony.

- Tak, panie, jesteś przecież magiem śmierci, nowym mieszkańcem tej krypty. Za dnia studiujesz księgi magiczne, a w nocy sypiasz w trumnie. - rzekł bezimienny umarłak.

- Ach... tak, oczywiście, jestem twym prawowitym władcą. Powiedz mi, gdzie tu można coś za darmo zjeść, bo zgłodniałem. Widzisz, jestem dopiero początkującym

magiem i nie potrafię wyczarować jedzenia. -
postawiłem pytanie, zbyt trudne chyba dla tej pustej
istoty.
- Aaargh! Wszystko znajdziesz w tej księdze, o panie.
Czy życzysz sobie, abym udał się do swego grobu i nie
przeszkadzał ci w lekturze? - spytał zombie.
- Tak, właśnie tego chcę. - odparłem zmieszany.
Stwór wyszedł z krypty i polazł w bliżej nieokreślone
miejsce. Zgodnie z jego radą, zabrałem się do czytania.
Księga była pamiętnikiem poprzedniego lokatora tego
grobowca. W zapiskach z drugiego dnia dowiedziałem
się, czym się żywił. I, nie powiem, przyprawiło mnie to o
mdłości. Mianowicie wyczytał w jakiejś mądrej książce
że człowiek, a szczególnie nekromanta, może przeżyć
pijąc krew i jedząc świeże zwłoki. Nie mając nic
lepszego do roboty zabrałem się za szukanie
wspomnianego jada. Na szczęście akurat odbywał się
pogrzeb. Poczekalem przyczajony w krzakach aż ludzie
się rozejdą, po czym przystąpiłem do działania.
Przywołałem mojego nowego sługę i kazałem rozkopać
grób. Zajęło mu to tylko chwilę, widać miał długoletnią
wprawę. Z świeżym truposzem wróciliśmy do krypty.
Uciąłem mu toporem nogę, po czym wlałem tryskającą
krew do szklanki. Gdy tylko spojrzałem na zwłoki od
razu zrobiło mi się niedobrze, ale sama krew wyglądała
apetycznie. "Pomyśl że to wino" - powiedziałem sam do
siebie i wypilem duszkiem zawartość szklanki. Smak ma
to słonawy, niezbyt dobry, ale jest bardzo pożywne.
Zawiera wszystkie mikroelementy potrzebne do
prawidłowego funkcjonowania organizmu. Wypilem
jeszcze dwie szklanki, po czym, pokrzepiony, zabrałem
się za dalsze studiowanie ksiąg magicznych. Tak

spędziłem cały tydzień, pijąc krew i czytając księgi. Czwartego dnia mój sługa przyniósł mi ususzone liście nieznanego pochodzenia.

- Co to jest? - spytałem.

- To jest, panie, tytoń. Wszyscy początkujący magowie palą. Doświadczeni już nie, bo to zgubny nałóg. Ale z początku daje możliwość lepszej koncentracji. - odparł.

- Jak to palą? Mam to wrzucić do ogniska? - rzuciłem kolejnymi pytaniami. W odpowiedzi zombie podał mi kolejną lekturę, z której dowiedziałem się wszystkiego na temat przyrządzania i palenia tytoniu. Wkrótce nauczyłem się palić i po kolejnych trzech dniach uciążliwych studiów magicznych zdecydowałem się opuścić kryptę. Taką decyzję podjąłem po wyczytaniu w jednej z ksiąg informacji na temat położenia portalu między światami. Według niej miał on być położony gdzieś na odległych ziemiach Valibeku, nieprzyjaznej krainy zza oceanu. Dzięki nekromancji ożywiłem swego konia, który zdechł z głodu z powodu mojej tygodniowej nieobecności. Swego zombie zostawiłem w krypcie - niech sobie czeka na nowego pana. Z ukradzioną poprzedniemu nekromancie różdżką i kilkoma księgami magicznymi wyruszyłem na poszukiwanie lądu zwanego Valibekiem.

Rozdział IV - Masakra w mieście jautów

Wychodząc z cmentarza natknąłem się na dwóch jautzańskich strażników.

- Pojmać go! - wrzasnął jeden z nich.

- To przeklęty nekromanta, sługa Rauga! - dodał drugi. Raug to odpowiednik ziemskiego Szatana, buntownik Sesuggijskiej odmiany chrześcijaństwa. Rozejrzałem się wokół. Z pobliskiego budynku wybiegło jeszcze około dwudziestu strażników. Walka nie miała sensu.

- Jesteś aresztowany! - wrzasnął jeden z nich, ubrany na czerwono, zapewne jakiś oficer. Po tych słowach zostałem pojmany i zaprowadzony do miejscowych lochów. Lochy miasta jautów to bardzo ciekawe miejsce, powiem nawet, że przytulne. Wszędzie naokoło leżą kości i rozkładające się zwłoki. Strażnicy popełnili wielki błąd wtrącając tam nekromantę, nawet początkującego. Zapaliłem papierosa i zacząłem działać. W ciągu czterech godzin miałem już gotową grupę uderzeniową - osiem szkieletów i czterech zombie. Miałem też na wyczerpaniu zapasy energii magicznej. Postanowiłem zregenerować siły upuszczając krwi najświeższemu trupowi. Następnie zrobiłem to, na co od dawna miałem ochotę.

- Rozwalcie te drzwi! - rozkazałem swoim umarłakom. Uzbrojeni w kamienie wyciągnięte z muru i łańcuchy z kajdan poradzili sobie z tym bez większego problemu. Strażnicy przed wejściem mieli bardzo ciekawe miny,

kiedy zobaczyli grupkę klekoczących kośćmi szkieletów wybiegających z lochu. A ja za nimi. Żołdacy podnieśli alarm. W mgnieniu oka zjawiała się cała straż garnizonu. W przybliżeniu czterdziestu jautów z mieczami i łukami. Schowałem się z powrotem do lochu, i obserwowałem walkę zza krat. Właściwie to nawet nie była walka. To była masakra w pełnym tego słowa znaczeniu. Rzecz w tym, że aby zabić, a właściwie zniszczyć, szkielet trzeba go porąbać na kawałki, a nie uciąć czaszkę. Właśnie dlatego trupy to dobrzy żołnierze - nigdy nie sprzeciwiają się rozkazom i nie przestaną walczyć po stracie dowolnej części ciała. Zombie polegali bardzo szybko, szkielet nie zginął żaden. Uzbrojone w zabrane strażnikom miecze i topory kościeje odcinały jautom głowy, ręce i inne członki, kiedy zaś straciły broń - wrywały gołymi rękami serca. Po rozprawieniu się ze strażą lochów cała kościana kompania ze mną na czele wpadła do miasta. Zacząłem za pomocą zaklęcia wampiryzmu odbierać energię życiową przechodniom i gapiom. Byłem w jakimś specyficznym transie, wpadłem w szal zabijania podobny do berserku. Opanowanie przyszło dopiero wtedy, kiedy stałem się jedyną pozostałą przy życiu istotą w mieście, nie licząc tych, co siedzieli w domach. Kościeje zaczęły znosić mi trofea. Blisko tysięcy różnych części ciała rozmaitych istot. Nie miałem ochoty tego oglądać. Udałem się z powrotem na cmentarz, celem ucięcia sobie drzemki w mojej trumnie. Nakazałem umarłakom nikogo nie krzywdzić, ale pozostać w mieście. Po około czterech ziemskich godzinach drzemki obudziło mnie szarpanie za ramię. To jeden ze szkieletów mnie budził. Kościaki to bardzo dziwne

stwory - nie potrafią mówić, ale są w stanie powtarzać co do słowa to, co słyszały.

- Czego?!? - wydarłem się na stojącego nade mną truposza. Nie otrzymałem odpowiedzi. Zaczął pokazywać w stronę miasta.

- Mów, co słyszałeś! - powiedziałem trochę spokojniej.

- Jestem Xaomea, druidka uzdrowicielka - powiedział jej głosem - To nie było wrogie wojsko. Tu był nek... nek... nekromanta! - ciągnął głosem jakiegoś wieśniaka. Z całego bełkotu dowiedziałem się, że Xaomea jest w mieście.

- Prowadź! - nakazałem swemu sługusowi. Ten bez słowa ruszył w stronę ratusza. Podążałem krok w krok za nim. I, rzeczywiście, napotkałem druidkę opatrującą pozostałych przy życiu jautów na głównym placu. Na mój widok wszyscy, którzy mieli jeszcze nogi, uciekli do domów.

- Aaach, Rakat z Agrijetu, więc to ty siejesz tu taki postrach? Widać kojarzą cię z tym nekromantą, który na nich napadł. Zresztą to nie dziwne przy twoim kolorze skóry. - powiedziała Xaomea.

- Kojarzą mnie z nim dość słusznie. To ja, po krótkim okresie nauki nekromancji zrobiłem tu taką rzeź. Szczerze mówiąc chciałem tylko wydostać się z więzienia, reszta to ich robota. - wskazałem na zgromadzone dookoła szkielety. Wolałem nie przyznawać się do wampiryzmu energetycznego.

- Ty chędożony Raugisto! Jak mogłeś zabić tyle niewinnych istot? Nie masz sumienia? Takiej masakry nie było od czasów wojen nekromantycznych! - wydarła się na mnie. - Bucake Mugata! - krzyknęła. Szkielety

rozsywały się na poszczególne kości. Widać słaby ze mnie mag śmierci.

- Ja się uczyłem nekromancji tylko tydzień! Nie miałem pojęcia jak kontrolować opętane szaleńczo zabijania szkielety! - broniłem się. Zresztą było to poniekąd prawdą, bo nawet gdybym próbował je zatrzymać zapewne by mi się to nie udało.

- To po co żeś je tworzył, he? - spytała oskarżającym tonem. Nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie. Milczałem myśląc nad własnymi czynami. Tyle że ja nie uważałem ich za złe, co najwyżej za nielogiczne. I to bardzo nielogiczne. Bo w jakim celu marnowałem tyle energii na zmasakrowanie miasta, skoro mogłem uciec nie robiąc zamieszania? Xaomea przerwała moje rozmyślenia.

- Powiedz coś do jasnej cholery! - krzyczała ze łzami w oczach.

- Cóż mogę powiedzieć? Chyba tylko tyle, że jestem na siebie diabelnie zły. - rzekłem odpalając kolejnego papierosa. - Przepraszam - dodałem.

- Właściwie to ja także nie jestem aniołem. - stwierdziła - mnie też wygnano z kraju.

- Można wiedzieć za co? - spytałem

- Można. Tyle, że najpierw pójdziemy do miejscowej karczmy wynająć pokój. Stać nas tylko na jednoosobowy, ale możesz chyba spać na podłodze?

- Oczywiście, nie śmiałybym pomyśleć inaczej. - odparłem. Weszliśmy do najbliższej oberży. Oberżysta był wyraźnie przerażony moim widokiem, toteż wynajął nam pokój bez żadnego ale. Jednak w nocy i tak nie spaliśmy. Musiałem się przecież dowiedzieć za co wypędzono Xaomeę z Lasu Druidów.

Rozdział V - Opowieść Xaomei i nowe spojrzenie na UFO

Siedzieliśmy w nowo wynajętym pokoju. Xaomea zaczęła wygłaszać monolog:

"Zaraz po twoim wyjeździe pokłóciłam się z Wielkim Druidem. Powiedziałam, że niesłusznie cię wygnał. Miałam kilku sojuszników w tym poglądzie, jednak demokratyczna większość była przeciw mnie. Wielki Druid nakazał swoim ludziom cię ścigać. Chcieli cię dopaść zanim stałbyś się zbyt niebezpieczny. Ja, z moimi przyjaciółmi w tym czasie snułam plany które miałyby pomóc mi ich powstrzymać. Plan był bardzo prosty: okaleczyć nogi koniom oddziału pościgowego. W noc przed wyruszeniem pogoni przystąpiłam do dzieła. Była to piękna, gwieździsta noc. Do północy patrzyliśmy z przyjaciółmi w gwiazdy. Widzisz, jeden z nich ma jakąś manię na punkcie istot inteligentnych z innych planet. Twierdzi, że najbliższe myślące formy życia istnieją na jednej z planet obiegających Bursę. Jest to mała gwiazda, w mniej więcej połowie jakiejś galaktyki spiralnej. Mój przyjaciel twierdzi także, że odebrał przekaz telepatyczny od tych istot. Swoją gwiazdę nazywają rzekomo Słońcem, a planetę Ziemią. Podobno stanęli już na innym ciele niebieskim niż swoja ojczysta planeta. Wśród teorii O'Kaugega, bo tak ma na imię ten chory astronom, znajduje się także teza na temat pochodzenia nas, ludzi. Według niego pochodzimy właśnie z Ziemi, a nasi przodkowie zostali przeniesieni na Sesugg poprzez

wielkie wyładowanie energii magicznej. O'Kaugeg twierdzi też, że dałoby się ten wyczyn powtórzyć. Według mnie to jedna wielka bujda. To po prostu mag energetyczny, który swoją magię uważa za najlepszą i wszechmogącą. A przecież taka podróż jest całkowicie niemożliwa. No nic, wróćmy do tematu. O północy ruszyliśmy pod osłoną drzew do stajni. O'Kaugeg użył magii, żeby sparaliżować nogi koniom na tydzień, nie czyniąc im krzywdy. Jednak wyładowanie energii zaalarmowało strażników, którzy złapali nas na gorącym uczynku. Zostaliśmy wtrąceni do więzienia, czekając na poranne spotkanie z Wielkim Druidem. Rano zostaliśmy brutalnie obudzeni i zaprowadzeni do sali tronowej. Karą za takie przewinienie była banicja. Żeby nie pogrążyć reszty przyjaciół, przyznałam się do zaplanowania sabotażu. Natomiast O'Kaugeg przyznał się do wykonania. Pozostałych oczyszczono z zarzutów. Zostaliśmy więc oboje wygnani, tyle, że ja pojechałam przodem na wieść o masakrze. Pomyślałam, że mogę się przydać. O'Kaugeg przyjedzie tu jutro. Cóż, to chyba cała historia, szczególnie, że chce mi się już spać"

To nawet nie był taki głupi pomysł.

- Dobranoc - powiedziałem, ale w odpowiedzi usłyszałem tylko miarowy, równy oddech. Też chciałym tak szybko zasypiać.

Rozdział VI - O'Kaugeg

Rano przybył do miasta wspomniany przyjaciel Xaomei. Był to człowiek chudy i dość wysoki. Wyższy ode mnie o głowę. Poszedłem z nim do krypty, gdzie czytał ową księgę, w której znalazłem informacje na temat portalu między światami.

- Ten, kto to pisał nie znał tematu. - stwierdził. - Znam tą teorię. Na ziemiach Valibeku istnieje dolina będąca w stanie doprowadzić maga do stopnia wysokiej magyi. Gdyby czterech magów - chaota, druid, energetyczny i nekromanta połączyło w tym stanie swe siły byłoby w stanie stworzyć swoistą bańkę mydlaną. W otoczone energii magicznej mogliby podróżować przez przestrzeń kosmiczną z prędkością milion razy szybszą od świetlnej. W ten sposób w mgnieniu oka znaleźliby się na Ziemi - i to właśnie jest ten drugi świat.

- Interesująca teoria. - stwierdziłem. I było tak w istocie. Uwierzyłem O'Kaugegowi. To jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że muszę dotrzeć do Valibeku.

- A co gdyby jeden z magów nie wszedł w tym czasie w stan wysokiej magyi? - spytałem.

- Wszyscy ponieśliby natychmiastową śmierć przez anihilację. - odparł. Cóż za obiecująca perspektywa. Jakoś mnie to nie pocieszyło. Zdecydowałem powiedzieć swoim nowym kompanom o moich zamiarach dotarcia do Valibeku.

- Podróż przez morze? To samobójstwo! Nie wiemy nawet, czy ten mityczny Valibek istnieje! - skwitowała mnie Xaomea.

- A według mnie to bardzo dobry pomysł. I tak jesteśmy wygnańcami, którzy nie mają nic do stracenia. Ja jestem za. - zapalił się do pomysłu O'Kaugeg.

- Ja także popieram własny pomysł. - powiedziałem. Ku sprzeciwie Xaomei zdecydowaliśmy o rządach demokracji. Wobec czego po przygotowaniu prowiantu na drogę wyruszyliśmy w dalszą podróż. Nasz prowiant był bardzo ciekawy - Xaomea nie zabrała nic, twierdząc, że wyżywią ją lasy. O'Kaugeg wziął dużą ilość gotowanej kaszy, a ja - dziesięć litrów krwi zebranej po masakrze i trochę bydlęcego mięsa. Chciałem też zabrać ze sobą jakichś ochroniarzy. Poszedłem więc na plac główny, gdzie jauci układali ciała poległych w masakrze. Zebrałem wszystkie siły, wypowiedziałem zaklęcie... i nic. Nic się nie stało, poza pojawieniem się trzaskających iskierek na moich palcach. Stałem wyraźnie zakłopotany.

- Przepraszam, że się wtrączę, ale chyba mogę to wyjaśnić. - powiedział stojący za mną O'Kaugeg widząc moje zdziwienie.

- W jaki sposób? - spytałem

- Ilu nieumarłych powołałeś już do życia? - wyciągał ode mnie informacje

- Dwunastu, na masakrę. - odparłem

- Więc powinieneś móc przywołać jeszcze jednego. Nekromanta na twoim poziomie, przyznasz, że niskim, może przywołać trzynastu nieumarłych na pół roku. - stwierdził. W tym momencie podeszła do nas Xaomea z objuczonymi końmi.

- Znalazła się zguba. Ten koń to zombie, i to bez skóry na prawym boku. - rzekł O'Kaugeg. Miał rację. Przywołałem już trzynastu nieumarłych i nie mogłem już przywołać więcej. A z innych czarów nekromantycznych znałem tylko zadawanie ran, wampiryzm i wywołanie ducha. Byłem więc nekromantą nie mogącym rzucić części zaklęć. Trudno. Tak przynajmniej wtedy myślałem.

- Zamiast gadać, wsiedlibyście na konie i może wreszcie wyruszymy? - zakomenderowała Xaomea. Wypełniliśmy prośbę bez sprzeciwu i już wkrótce znaleźliśmy się pod bramą miasta. Ruszyliśmy na północ z zamiarem dotarcia do oceanu. Droga mijiała przyjemnie. Prowadziłem długie, filozoficzne rozmowy z O'Kaugegiem i bardziej przyziemne, ale równie długie z Xaomeą. Po dość krótkim okresie czasu stanęliśmy na granicy bagien. Przed nami rozciągała się niezwykle rozległa równina. Wypalona ziemia na której nie rosła żadna rośliność wyglądała dużo przyjaźniej niż bagna. Gdzieś w dali walały się kości zwierząt. Po sam horyzont nie było nic poza spaloną słońcem skałą.

- Równina Elbu. - stwierdził O'Kaugeg. Nie było odzewu. Ruszyliśmy dalej bez zastanowienia, ponieważ jedynym co nas tak naprawdę obchodziło, była ucieczka z tych przeklętych bagien. Popędziłem konia do galopu. Niestety po czterech godzinach biegu w upale rumaki O'Kaugega i Xaomei zaczęły się męczyć. Trzeba było je napoić, ale w promieniu kilkuset kilometrów nie było żadnej wody. Mimo, że słońce dopiero zachodziło, zdecydowaliśmy się rozbić obóz. Jedliśmy prowiant i dyskutowaliśmy siedząc na nagiej skale. Dyskusja nie wносиła nic nowego do naszej egzystencji, jednak była

dobrym sposobem zabicia czasu. W pewnym momencie Xaomea, po przebadaniu koni za pomocą magii stwierdziła:

- Te zwierzęta nie przeżyją bez wody jutrzejszego dnia. Rakacie, twój rumak poniesie bagaże, ponieważ i tak jest już martwy od jakiegoś czasu.

- Dobrze, niech będzie. - odparłem. Była to rozsądna decyzja. Była to ostatnia ważna kwestia tego dnia, gdyż stwierdziliśmy zgodnie, że trzeba iść spać i korzystać z chłodu nocy. Długo nie mogłem zasnąć. Leżałem na skale wpatrując się w gwiazdzone niebo. Rozmyślałem o Ziemi i Słońcu. Nie doszedłem jednak do żadnych powalających wniosków, więc położyłem się spać.

Rano obudził mnie krzyk Xaomei. Trochę czasu zajęło mi dojście do tego, jaka była jego treść.

- One nie żyją! To zimne trupy! Wszyscy zginiemy! - krzyczała. I teraz już wiedziałem dlaczego. Do nosa uderzył mi straszny smród rozkładającego się mięsa. Spojrzałem przed siebie. Moim oczom ukazał się widok Dwóch martwych koni leżących na skale i jednego końskiego szkieletu wydającego dziwne porykiwania. Nasze rumaki zdechły w nocy, a poranne słońce wypaliły resztki mięsa z mojego kościanego wierzchowca.

O'Kaugę zlewał krew martwych koni do worków po wodzie.

- Jeśli chcemy przeżyć, będziemy musieli ją pić. - rzekł - w przeciwnym razie dojdzie do odwodnienia organizmu. - dodał.

- Ja mam swoją krew w workach przy koniu. Mogę wam trochę odstąpić. - powiedziałem.

- Nie będę pić krwi! A już na pewno nie jauciej! To istoty inteligentne, a spożywanie osocza to grzech

śmiertelny! - krzyczała Xaomea. Ogarnęła mnie desperacja.

- Teraz przejmujesz się religią? Może jeszcze pójdziesz się pomodlić? He? Powiedz mi gdzie teraz jest twój chędożony Tepar, gdzie on jest, kiedy potrzebujesz pomocy? - krzychałem.

- Przestańcie! - wrzasnął O'Kaugeg. - To nie ma sensu! Wyruszamy w dalszą drogę. Rakacie, twój koń poniesie bagaże i Xaomeę. My pójdziemy pieszo, pokrzepiając się krwią. - zakomenderował. Było to najlepsze, co mogliśmy zrobić. Podróżowaliśmy tak przez dwa dni, w nocy pojąc Xaomeę krwią.

Już pierwszego dnia wędrówki zacząłem odczuwać w sobie pewną pustkę. Bardzo mi czegoś brakowało. Coraz częściej miałem zwidy, wpatrywałem się w skały widząc w nich jezioro pełne wody. Tak, cierpiałem z powodu jej braku. I to cierpiałem nie fizycznie, miałem przecież krew. Mój ból był odczuwalny na poziomie duchowym, odeszły ode mnie siły magiczne. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, dlaczego. Trzeciego dnia tej podróży, kładąc się spać, zauważyłem świetlną łunę. Wiedząc, że mam omamy, zapytałem O'Kaugega, czy widzi to samo, co ja. - Jak najbardziej. Budź Xaomeę. - stwierdził. Zrobiłem to, po czym w trójkę ruszyliśmy pod osłoną nocy w stronę tajemniczego światła. Było to miasto, miasto na środku pustyni. O'Kaugeg patrzył na nie przez swoją lunetę astronomiczną.

- Rakacie, spójrz! - krzyknął podając mi przyrząd. Przyjrzałem się i zdębiałem. Zobaczyłem ognisko na środku dziedzińca, a dookoła niego tańczące szkielety.

- Wsiadę na konia i pojedę tam. Nic chyba nie zrobią nekromancie. Kiedy droga będzie wolna, wystrzelę

płonącą strzałę - powiedziałem. Moim towarzyszom
spodobał się pomysł.

- Pamiętaj, że jeśli wyssiesz energię z jakiejś nieumarłej
istoty będziesz mógł przywołać własną. - rzekł

O'Kaugeg.

- Dzięki, zapamiętam - odparłem. Wskoczyłem na konia
i pogalopowałem w stronę bram miasta.

Rozdział VII - Viuw, ojczyzna nekromantów.

Przy bramie miasta przywitały mnie dwa wampiry. To w końcu też nieumarli - pomyślałem i z różdżką w ręku zacząłem wysysać z jednego z nich energię. Już udało mi się go zniszczyć, kiedy zostałem ugodzony wypuszczoną z nekromantycznej laski strzałą z kości. Trafiła mnie w bok, a ból sprawił, że straciłem przytomność.

Obudziłem się w otwartej trumnie, nade mną pochylało się trzech bladokórych jegomościów.

- Budzi się, dawać więcej! - krzyknął jeden z nich. Do pokoju wbiegł szkielet z kuflem świeżej krwi.

- Pij! - rozkazał inny. Rzuciłem się na krew jak głodny wampir. Po opróżnieniu zawartości kufła podniosłem się do pozycji siedzącej. Siedziałem w zrobionej z kości chacie, z dachem okrytym skórą.

- Kim jesteście? - spytałem bladych twarzy.

- Sechlo, Pelwo i Tocigo, lekarze Viuw - odpowiedzieli pokazując kolejno na siebie.

- Jak długo spałem? - spytałem

- Około dwóch godzin. Ciesz się, że żyjesz, bo strażnik na wieży nigdy nie chybia. - powiedział Tocigo.

- Tym razem chybił. Przecież żyję. - odparłem. Lekarze zaczęli mi opowiadać co się stało. Znajdowałem się w mieście o dźwięcznej nazwie Viuw. To tutaj po raz pierwszy powstała nekromancja. Strażnik chybił, bo chciał to zrobić. Celował w głowę, ponieważ

zaatakowałem wampira przed wejściem. Jednak w ostatniej chwili zorientował się, że atak został przeprowadzony przy użyciu zaklęcia wampiryzmu energetycznego. Nie zdążył już zaniechać strzału, ale udało mu się zmienić tor lotu pocisku.

- Czy jest tu bezpiecznie? - spytałem bladej trójcy.

- Absolutnie. Całe miasto przyjęło cię jak brata, jesteś w końcu nekromantą. - rzekł Sechlo.

- Czy mogę tu wprowadzić kogoś, kto nie jest magiem śmierci? - zadałem kolejne pytanie.

- Oczywiście, pod warunkiem, że ręczysz za niego własnym życiem. - odezwał się Tocigo. To mnie urządziło. Wyszedłem na dziedziniec, podpaliłem strzałę od pochodni i wystrzeliłem w niebo. Xaomea i O'Kaugeg szybko zjawili się przy bramie. Powitałem ich przy niej, żeby mieć pewność, że strażnik nie strzeli. Nie zdążyliśmy nawet wejść na dziedziniec, kiedy podleciał do nas wampir.

- Król chce was widzieć. - powiedział skrzekliwym głosem, po czym zmienił się w nietoperza i odleciał. Miałem już niemiłe przeprawy z Wielkim Druidem, ale wolałem stawić się na wezwanie. Pałac tutejszego władcy robił powalające wrażenie. Był zbudowany w całości z kości Izesów, równinnych jaszczurów o długości czterech metrów i dwudziestocentymetrowych zębach. Cztery wieże miały dachy zrobione z czaszek tych stworzeń. Wnętrza pomieszczeń były nie mniej imponujące. Dywany z włosów, rzeźbione runy na ścianach. Weszliśmy na salę tronową. Król był człowiekiem mniej więcej mojej budowy i koloru skóry, miał długie, czarne włosy i przekrwione oczy. Ukłękliśmy.

- Powstań, przyjacielu, żaden nekromanta nie będzie przede mną klękał. Wy dwoje także wstańcie. - powiedział król. - Jako nekromanta, a także wy, jako jego przyjaciele, macie prawo do nieograniczonego pobytu w mieście Viuw. Wy dwoje - mówiąc to wskazał na Xaomeę i O'Kaugega - jesteście teraz pod opieką Rakata z Agrijetu, który ręczy za was życiem.

- Skąd znasz moje imię, panie? - spytałem

- Poucz się jeszcze nekromancji, synu, a będziesz wiedział. Możecie odejść. - rzekł król, po czym dwa wampiry odprowadziły nas do drzwi. Otrzymaliśmy chatę blisko centrum. Dostawaliśmy także dowolne ilości jadła i picia. Na błogim odpoczynku minął nam czas aż do wieczora. O zachodzie do naszej chaty wbiegł zombie.

- Król zaprasza was na święto. Mamy dzisiaj pogrzeb. - powiedział i wybiegł. U nekromantów śmierć jest wielkim świętem, wobec czego, nie rezygnując z zaproszenia poszliśmy na główny plac przed pałacem.

Na środku był już ułożony wielki stos z gotowym do spopielenia ciałem. Niedaleko stały dwie budki z zombie w roli barmanów. W jednej serwowano mięso Izesu, a w drugiej drinki alkoholowe. Król osobiście podpalił stos.

- Bawmy się! - krzyknął. Na tą komendę rozbrzmiały bębny i gitara. Na scenie grały umarlaki nieznanego pochodzenia, dookoła stosu tańczyły szkielety. Bary zostały otwarte. Nekromanci zaczęli tańczyć razem z kośćcami, a ja z towarzyszami przyłączyłem się do nich. Wszyscy bardzo dużo pili. I to wcale nie były słabe alkohole. Jeśli uważacie, że ziemską Krwawą Mery daje kopa, to spróbujcie kiedyś wypić pół litra krwi pół na pół ze spirytusem. To dopiero uderza do głowy.

Przetańczyliśmy całą noc, tak dobrze nie bawiłem się od dawna. Podczas imprezy strzelałem z różdżki w niebo kościanymi strzałami, w które O'Kaugeg puszczał salwy energii. Kości rozpadały się na kawałki, rozbłyskując na różne kolory. Nawet król bił nam brawo. Impreza dobiegła końca o wschodzie słońca. Rano położyliśmy się spać. Po południu obudziliśmy się, a Xaomea skarżyła się na potworny ból głowy. Ja twierdziłem, że to zwykły kac, ale mimo to zaprowadziłem ją do szpitala. - Macie tu coś na kaca? - spytałem "trzech bladych twarzy".

- I owszem. Tylko nie mów druidce, że to krew Izesu zmieszana z ludzką i oślim mlekiem, bo wymiotuje. - powiedział Tocigo.

- Jasna sprawa - odparłem. Dałem jej miksturę. Od razu poczuła się lepiej. Następnie wróciliśmy do chaty, gdzie O'Kaugeg siedział już nad mapą.

- Czeką nas jeszcze szmat drogi. Musimy dotrzeć do miasta portowego Esrumag. Stamtąd możemy wypłynąć na Ocean Magów. - powiedział na nasz widok.

Podjęliśmy zdrową, demokratyczną decyzję o wyruszeniu w dalszą drogę. Od nekromantów otrzymaliśmy zapasy krwi, a także dwa kościane konie. Są to najlepsze wierzchowce na równiny. Nie jedzą nie piją, a ludzi unieść mogą. Dostaliśmy także oczywiście siodła. Nie radziłbym nikomu jechać na oklep na końskim kręgosłupie. A już szczególnie odradzam to mężczyznom. Z poprzednionocnym kacem i optymizmem na duchu wyruszyliśmy w stronę Esrumag.

Rozdział VIII - Porwanie

Podróż przez równinę Elbu upłynęła bez problemów. Konie nie posiadające mięśni są zdolne do nieustannego galopu, więc postoje robiliśmy tylko na noc. Po kolejnym dniu szaleńczego biegu przez równinę dotarliśmy do granic kolejnego kraju. Na pierwszy rzut oka bardzo przyjaznego. Rozległe pola uprawne i stojąca gdzieniegdzie chałupa to bardzo sielski widoczek. Niskie góry na horyzoncie dodawały piękności całemu widokowi.

-To kraj Seutarów, rasy wysokich i potężnie zbudowanych istot o czarnej jak smoła skórze. Są bardzo przyjaźnie nastawieni do wszystkich, którzy mają pieniądze i chętnie je oddają. Ich państwo nosi nazwę Baatel. - poinformował nas O'Kaugeg. Przyjąłem to bez żadnego komentarza. Musieliśmy dotrzeć do jakiegoś miasta i uzupełnić zapasy. Nie trzeba nam było długo szukać. Zaraz za linią horyzontu zauważyliśmy potężną metropolię. Przy bramie miasta przywitało nas dwóch strażników.

- Witam szlachetnego nekromantę. - zwrócił się do mnie jeden z nich.

- Witaj strażniku. - odparłem - Szukamy noclegu i dobrego jadła. - dodałem.

- Ależ oczywiście, to zrozumiałe po podróży, panie...

- Rakat, Rakat z Agrijetu - poinformowałem.

- Otwierać bramę! I poinformować Sh'Yofbura, że przybył sir Rakat z Agrijetu! - krzyknął do strażników na wieżach. W owej chwili nie było mi dane wiedzieć, kim

jest Sh'Yofbur, zresztą nie interesowało mnie to zbytnio. Zostaliśmy wpuszczeni i tylko to się liczyło. Cały nasz majątek liczył dziesięć sztuk złota. Weszliśmy do pierwszej napotkanej oberży. "Pod krwawym szkieletem" - obiecująca nazwa dla nekromanty. Zamówiliśmy pieczoną wołowinę i piwo. Po obfitym posiłku poczuliśmy się dużo lepiej.

- Wynajmijcie nam pokój, a ja pójdę do sklepu po zaprowiantowanie. - powiedziała Xaomea. Nie mieliśmy nic przeciwko. Wynajęliśmy iście królewską komnatę i, będąc zbyt zmęczeni aby czekać, położyliśmy się spać zostawiając otwarte drzwi.

Obudziłem się pierwszy. Pierwsze co zauważyłem to nienaruszone łóżko Xaomei. Obudziłem O'Kaugega.

- Xaomea nie wróciła na noc. Zejdę na dół, może oberżysta coś wie. - powiedziałem.

- Idę z tobą - stwierdził, po czym obaj ubraliśmy się i zeszedliśmy do sali głównej. Jeszcze na schodach zawołał mnie oberżysta

- Ooo, sir Rakat z Agrijetu, można pana na chwilę prosić? - krzyknął. Podeszedłem do baru, a karczmarz wręczył mi zalakowaną kopertę. Na pieczęci widniały litery GP.

- Dzięki - powiedziałem. Usiedliśmy z O'Kaugegiem przy najbliższym wolnym stoliku. Otworzyłem kopertę, a list zawierał następującą treść:

*Wasza druidka jest
zdrowa. Nic jej nie grozi
- na razie. Macie
przyniesc sto sztuk zlota
pod adres
44 aleja, dom 5
; a nic jej sie nie stanie.*

*Z powazaniem,
Gildia Porywaczy*

Nie byłem zbytnio uradowany takim obrotem sprawy.
- Musimy ją odbić! - krzyknąłem.
- Czekał, trzeba obmyślić plan. - powiedział O'Kaugę.
- Więc idź i myśl, na co czekasz? - spytałem
poirytowany. O'Kaugę bez słowa poszedł do pokoju.
Wszystkie nasze pieniądze zabrała Xaomea, więc
podchodząc do baru uderzyłem różdżką w blat.
- Dawaj szklankę bimbrow, chyba, że chcesz zobaczyć
wnerwionego nekromantę! - krzyknąłem. Oberżysta
nalał do pełna. Wypiłem duszkiem bimber, co tylko
spotęgowało mój gniew.
- Karcmarzu! Gdzie jest czterdziesta czwarta aleja? -
spytałem

- Na prawo od oberży, zaczyna się za rogiem, sir. -
odpowiedział. Wybiegłem z oberży i dość szybko
znalazłem wskazany adres. Zacząłem walić w drzwi.
- Aaach, więc to Rakat z Agrijetu. Przyszedłeś zapłacić?
- powiedziała szpetna gęba, którą zobaczyłem w
okienku.
- Nie, przyszedłem cię zabić. - odparłem po czym
najspokojniej w świecie wypuściłem strzałę z kości w
sam środek gęby. Jej właściciel osunął się na podłogę z
cichym jękiem. Wyważyłem drzwi posługując się
własnym butem. Nie były nawet wstawione w zawiasy.
Rozejrzałem się wokół. Pokój wyglądał jak istna melina.
porozbijane stoły, krzesła, butelki po alkoholu.
Pociągnąłem duży łyk pozostawionego na stole spirytusu
i podszedłem do jakiegoś faceta skulonego w kącie.
- Gdzie reszta? - spytałem
- Uciekła, kiedy mózg Quewisa wylądował na podłodze.
Ja nie mogłem uciec bo strzała z kości po przejściu przez
jego głowę poraniła mi nogi. - zaczął mówić płaczliwym
głosem. - gdybyśmy wiedzieli, że jesteś nekromantą w
życiu byśmy się nie odważyli... - w tym momencie
zaczął chlipać. Nawet mi się go żal zrobiło. Przywołałem
konia, wsadziłem tego płaczka na siodło i rozkazałem:
- Zabierz mnie do swego przywódcy. Chcę go zabić
osobiście. Jeśli zmusisz konia do galopu i spróbujesz mi
uciec dostaniesz strzałę z kości w plecy. Możesz
zaryzykować, pijany jestem. - po takich słowach raczej
nie chciało mu się próbować. Prowadził konia po
scondach na piętro. Na moich oczach dostał strzałę w
kark. Krew trysnęła strumieniem. Przystanąłem na
scondach nie wiedząc co zrobić. Mogłem przywołać

jednego nieumarłego, za tego wampira którego wyssałem przed bramą Viuw.

- Wejdz Rakacie z Agrijetu, nie zabijemy cię, bo w końcu ktoś musi nam zapłacić! - usłyszałem krzyk z góry. Było to dosyć logiczne, więc wziąłem trupa na ręce, w dłoń wsadziłem mu sztylet i wszedłem na górę.

- Macie tu swojego człowieka! - krzyknąłem rzucając trupa za fotel przywódcy. Nie zareagował. Był to błąd. Ostatni błąd w jego życiu. Wyszeptałem zaklęcie, a za przywódcą bandy wyrósł śliczny szkielecik ze sztyletem w dłoni.

- Połóż mu sztylet na gardło. Jeśli on, lub któryś z jego ludzi wykona choćby ruch, którego im nie nakażę - zabij go! - krzyknąłem do mego sługi. Wszyscy zebrani zamarli. Miałem czas rozejrzeć się po pomieszczeniu. Na środku siedział herszt bandy, w czterech kątach stało czterech uzbrojonych w kusze bandziorów.

- Rzućcie do mnie swoją broń! - rozkazałem. Bez słowa wykonali rozkaz. Zrzuciłem ze schodów kusze, które połamały się od upadku.

- Teraz możemy porozmawiać o okupie. Zapłatą będzie twoje życie. Mów, gdzie jest Xaomea. - powiedziałem spokojnym tonem.

- U Sh'Yofbura. Kazał nam ją porwać i przyprowadzić do siebie. - odparł drżącym tonem.

- Gdzie go znajdę? - spytałem.

- Jest w swojej wieży, widać ją z ulicy. - usłyszałem odpowiedź.

- Zabij ich, nie są mi już potrzebni. Później masz iść "Pod krwawy szkielet" i czekać tam na mnie. - rozkazałem kościejowi, po czym wyszedłem.

Rozdział IX - Sh'Yofbur

Wskoczyłem na konia i w ciągu kilku minut znalazłem się pod wieżą Sh'Yofbura. Dało się wyczuć potężne wyładowania energii magicznej. Drzwi pilnował dziwny stwór. Był bardzo chudy, miał oczy żółte jak moje i odstające uszy. Czerwona skóra i kozia broda dodawały uroku całości. Gotowy zabić demona zbliżyłem się do istoty.

- Mój pan cię oczekuje. Zaprowadzę cię do niego.- rzekł stwór. Nie miałem zdaje się lepszego wyboru, więc uzbrojony w mocne nerwy i moją różdżkę poszedłem za nim. Wnętrze wieży wyłożone było ceglami, przy schodach płonęły pochodnie. Ściany pokryte były rzeźbionymi runami. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Wchodziłem po schodach za demonem na sam szczyt wieży. Po dotarciu do celu stwór uklonił się, wskazał drzwi i odszedł. Wrota otworzyły się przede mną. Moim oczom ukazał się niezwykle widok: znalazłem się w obszernej bibliotece z centralnie ustawionym stołem i czterema krzesłami. Na półkach zgromadzone były księgi magiczne. Z pomieszczenia wychodziły cztery korytarze. Rozglądając się wokoło usłyszałem kroki dobiegające z jednego z nich. Dobyłem różdżki gotowy na atak. Do biblioteki wkroczyły trzy postacie: O'Kaugeg, Xaomea i siwiejący już mag o żółtych oczach...

- Co jest grane? Gdzie Sh'Yofbur? - spytałem.

- Jam jest Sh'Yofbur, Chaota, mag astralny. - powiedział siwy facet.

- Więc może wytłumaczysz mi dlaczego porwałś Xaomeę? Chciałbym to usłyszeć zanim umrzesz. - rzekłem, nie wiedząc na co się porywam.

- Najpierw proponuję ci mnie zaatakować a dopiero potem wydawać sądy. - odparł niczym nie przejęty. Bez słowa wypuściłem strzałę z kości prosto w jego głowę. Przed samym trafieniem strzała skręciła i uderzyła w ścianę.

- Jak widzisz jestem na razie poza twoim zasięgiem. Jednak wypadaloby podkreślić słowa na razie. Zamierzam bowiem cię uczyć. - rzekł.

- Dobrze ale w takim razie dlaczego ją porwałś? - spytałem.

- Ponieważ sam nie przyszedłbyś do mnie. - odparł. Rozmowa była skończona. Zdecydowałem się przyjąć propozycję Sh'Yofbura. Mag zakwaterował nas w jednej z komnat wieży. Ja otrzymałem też osobny pokój z biurkiem i półkami na księgi. Pustymi. Wszyscy byliśmy zmęczeni, więc położyliśmy się spać. Rano obudziła mnie Xaomea.

- Musimy wracać z O'Kaugegiem do Lasu Druidów. Coś się stało, czuję to. - powiedziała.

- Wobec tego jadę z wami. - odparłem.

- Przecież nie wolno ci tam wjechać. Zostań tutaj, ucz się Chaosu i czekaj na nas. Wrócimy za trzy dni. - rzekła. Co miałem zrobić? Zgodziłem się, pożegnałem ich i udałem się do swego pokoju. Po dość krótkim czasie zjawił się Sh'Yofbur.

- Muszę ci wytłumaczyć dlaczego szukam ucznia. Potrzebny jest mi następca, ponieważ został mi już tylko tydzień życia. Wiedza zawarta w moich księgach jest zbyt cenna, żeby została zmarnowana. Ty jesteś już

magiem, więc nauka będzie szła ci dużo szybciej. Masz także naturalne uwarunkowania na chaotę, co zdradzają twoje żółte oczy. - powiedział.

- Wobec tego możesz mnie uczyć, przyjmę każdą wiedzę mogącą pomóc mi w osiągnięciu mego celu. - odparłem.

- Chodźmy więc do biblioteki, dam ci książki, którymi zapełnisz półki w swoim pokoju. Będziesz się z nich uczyć teorii, praktykę poznasz ze mną. - rzekł, po czym wyszliśmy. Otrzymałem pokaźny księgozbiór, zawierający około dwudziestu tomów. Sh'Yofbur polecił mi kolejność lektur. Ustalił termin pierwszego treningu na następny rano. Jeden z jego sług miał mi przynosić jedzenie przez cały dzień. Lubię poznawać magię, więc bez wahania oddałem się lekturze. Przez cały dzień czytałem coraz bardziej zadziwiony ideologią Chaosu. Nie miałem nawet czasu nic jeść. Około północy poszedłem spać. Rano obudził mnie Sh'Yofbur, ubrany w długie, czerwone szaty.

- Wstawaj i zjedz śniadanie, po czym masz stawić się na trening. - powiedział.

- Tak, mistrzu - odparłem. Kazał się tak tytułować. Śniadanie było niezbyt smaczne, ale dawało potężny zastrzyk energetyczny. Z papierosem w zębach wpadłem do sali treningowej.

- Zgaś to, synu, energia emocjonalnego Chaosu zastąpi ci nikotynę. - rzekł Sh'Yofbur na mój widok. Zgodnie z poleceniem rzuciłem papierosa na ziemię.

- Dobrze. Oto twój kij. Magia chaosu to magia bitewna. Moc psychiki jest tu wykorzystywana do kontroli własnego ciała. Chaota jest mistrzem szermierki, doskonałym w koordynacji ruchowej podczas tańca ze śmiercią. Trzymaj kij i atakuj mnie. - powiedział mój

mistrz po czym złapał za swoją laskę. Zrobiłem zgodnie z poleceniem. Sh'Yofbur odparował wszystkie moje ciosy zadawane przez pełne piętnaście minut.

- Nie tak! - zawołał - Nie czytałeś ksiąg. Myślisz nad każdym uderzeniem. To niewybaczalny błąd.

- Mistrzu, nie jest łatwo wyzwolić w sobie nienawiść do ciebie. - odparłem. W Chaosie wszystkie techniki opierają się na kontroli uczuć. Trening psychiczny, który prowadziłem podczas lektury polega na całkowicie kontrolowanym wyzwalaniu odpowiednich emocji w dowolnym momencie. Opiewa też na tłumienie uczuć niepożądanych wewnątrz siebie. Po pięciominutowej medytacji mogłem powrócić do walki, pałając szczerą nienawiścią do Sh'Yofbura. Wszystkie mięśnie mojego ciała poddały się całkowitej kontroli. Wyznaczając rytm własnego serca, czując swój oddech zaatakowałem. Mój umysł sam z siebie podpowiadał mi kolejne uderzenia. Czuję jak nienawiść kieruje moją ręką, jakby sama z siebie zadając kolejne ciosy. Coraz bardziej zaangażowany w walkę połamane kije w zręcznym ciosie z półobrotu na broni mojego mistrza.

- Lepiej, ale ciągle źle. Tym razem przesadziłeś w drugą stronę. Uczucia są po to, żeby twój umysł je kontrolował, po czym kontrolują twoje ciało. U ciebie natomiast nienawiść wzięła górę. To dosyć częste u młodych adeptów. - powiedział Sh'Yofbur. - Na dzisiaj koniec. Idź do siebie i czytaj księgi.

Kolejne dni upłynęły mi na nieustannym treningu. Treningu Woli, kontroli uczuć i wszystkiego, co Chaota potrafić powinien. Szóstego dnia podczas porannego treningu udało mi się zachować zimną krew i pełną samokontrolę.

- Nie znasz jeszcze zaklęć, ale takie przygotowanie musi mi wystarczyć, gdyż jutro zabije mnie choroba. - rzekł Sh'Yofbur. - Chodź ze mną.

Zeszliśmy do piwnic wieży. Na ścianach zawieszona była rozmaita broń.

- Masz nowego właściciela! - krzyknął w ciemność mistrz Chaosu. Ze ściany zerwał się runiczny miecz i natychmiast trafił do mojej dłoni. Jego rękojeść dopasowała się do kształtu moich palców.

- To jest Ostrze Śmierci. Tak naprawdę wybrałem właśnie ciebie ponieważ jesteś nekromantą. Poprzedni właściciele tej wieży od dawna czekali na Chaotę, który potrafiłby się posługiwać także nekromancją. Tylko taki człowiek może żyć w idealnej symbiozie z tym mieczem. Czym tak naprawdę jest ten oręż dowiesz się z biegiem czasu. - powiedział mag.

- Dziękuję ci, Sh'Yofburze. Obiecuję zawsze nosić tę broń przy sobie. - odparłem.

- Mam do ciebie ostatnie pytanie, Rakacie z Agrijetu. Czy wybrałeś już swój żywioł? - spytał mój mistrz.

- Tak, jest to ogień. - rzekłem.

- Nie. To nie ty masz wybierać, lecz twoje wnętrze. W twoim przypadku jest to woda. Już raz uratowała ci życie. Teraz muszę cię opuścić. Wieża i cała jej biblioteka jest teraz twoja. Ja idę na ostatnie spotkanie ze swym żywiołem. Żegnaj. - powiedział Sh'Yofbur. Zaraz potem wyszedł z wieży przez drzwi frontowe i nie dane było mi więcej go ujrzeć. Przypiąłem Ostrze Śmierci do pasa i udałem się na górę z zamiarem położenia się spać. Nie udało mi się to jednak. Do komnaty wpadł demon, niosący skrzynię. Postawił ją na biurku i odszedł. Otworzyłem skrzynię. Moim oczom ukazał się

niezwykły widok: około piętnastu sakiewek pełnych białego proszku, dwudziestu butelek z podejrzanym płynem i cztery paczki ziela magicznego. W skrzyni leżała też księga: „Środki psychotropowe dla Chaoty”. Znalazłem w niej opisy działania amfetaminy - białego proszku i kofeiny - zawartości butelek. Znajdują niezwykle zastosowanie w walce. Szkoda, że nie doczytałem wtedy fragmentu o uzależnieniu.

Rozdział X - Agrijet po raz drugi.

Rano obudziłem się z dziwnym przeświadczeniem, że coś jest nie w porządku. Kazałem demonowi zrobić śniadanie i udałem się do sali medytacyjnej. W tym momencie przypomniało mi się, czego mi brakuje. Gdzie byli O’Kaugeg i Xaomea? Mieli wrócić cztery dni temu! Zdecydowałem pomyśleć o tym przy śniadaniu bo źle mi się myśli o pustym żołądku. Jedząc jakieś morskie stworzenia w sosie własnym stwierdziłem, że muszę wybrać się do Lasu Druidów sprawdzić sytuację. Szykowałem się już do drogi, kiedy pod wieżą zjawił się O’Kaugeg na czarnym koniu.

- Rakacie, mamy duży problem. Xaomea razem z resztą druidów została oskarżona o herezję i uwięziona w lochach Agrijetu. Sprawa ma charakter polityczny, gdyż druidzi nie chcieli oddać swych lasów pod pola uprawne. Za dwa tygodnie odbędzie się egzekucja. Mamy bardzo mało czasu. - powiedział, a właściwie wysapał.

- Co mamy zrobić? - spytałem poważnie zaniepokojony.

- Sami nie damy rady armii Agrijetu.

- Masz przyjaciół we Viuw. Spróbuj zorganizować grupę uderzeniową. Spotkamy się w Lesie Druidów, o dzień drogi od Agrijetu. - rzekł O’Kaugeg.

- Wobec tego nie traćmy czasu. - powiedziałem.

Wyruszyliśmy. Podróż upłynęła mi bezproblemowo.

Jadąc w transie nie potrzebowałem się zatrzymywać, więc do bram Viuw dotarłem w ciągu trzech dni.

Przywitał mnie dobrze znany mi strażnik.

- Witaj, Rakacie z Agrijetu. Czego poszukujesz w naszym mieście? - spytał

- Mam niecierpiącą zwłoki sprawę do króla. - odparłem. Zostałem wpuszczony bez zbędnych pytań i zaprowadzony przed tron. Objaśniłem królowi sytuację, który zdawał się być wyraźnie ucieszony.

- Od czasu wojen nekromantycznych z nikim nie walczyliśmy. Oczywiście, że użyję ci moich ludzi, jeśli tylko się zgodzą. - powiedział monarcha. Nekromanci zgodzili się bez problemów. Kiedy powiedziałem, że armia Agrijetu liczy około dwudziestu tysięcy zbrojnych trochę się przestraszyli. Dodałem też, że nie znają oni magii, co zostało przyjęte słowami: „Ty chcesz prowadzić wojnę czy rzeź?”. Nie tracąc czasu położyliśmy się spać, z zamiarem wyruszenia o świcie. Obudziłem się trochę za późno i wyszedłem na dziedziniec. Widok, który ujrzałem tak mnie zadziwił, że nie mogłem powiedzieć ani słowa. Podszedł do mnie przywódca grupy.

- Mamy tu pięćdziesięciu nekromantów, trzy tysiące szkieletów, półtora tysiąca zombie, pięćset wampirów i dziesięć nieumarłych smoków. - powiedział. Klekocząca kośćmi armia robiła wrażenie tak niesamowite, że mogłem powiedzieć tylko: „Wyruszamy”. W historii Sesugg na długo zapisze się nasz marsz na Agrijet. Marsz śmierci. Na swojej drodze zostawialiśmy tylko zgliszcza. Żadna wieś ani miasto nam się nie oparła. Po tygodniu marszu dotarliśmy do Lasu Druidów.

- Było was widać z daleka. Zresztą marsz armii tego rodzaju nie jest raczej widokiem zbyt częstym. - powiedział O’Kaugeg. Z pewnością z zewnątrz wygląda to tak, jakby sama śmierć szła zbierać swe żniwa.

Zdecydowaliśmy uderzyć pod osłoną nocy. Oddaliłem się więc od grupy i usiadłem pod drzewem, paląc papierosa.

- Dlaczego uderzamy tak późno? Ja chcę dusz! - usłyszałem.

- Musimy zaatakować przez zaskoczenie. - odparłem nie wiedząc z kim rozmawiam.

- Atakuj kiedy tylko chcesz, nie planuj. Chaos cię poprowadzi. - usłyszałem coraz bardziej zdziwiony. Zdałem sobie sprawę, że właściwie nie mówię. Ja myślałem.

- Gdzie jesteś? - spytałem w myślach.

- Przy twoim pasie, gamoniu. Kurde, czy wszyscy adepci muszą się tego uczyć? - przekazał Ostrze Śmierci.

- A od kiedy to miecze gadają, he? - odparłem. Byłem zaskoczony, ale na swój sposób spokojny.

- Jestem demonem Chaosu, uwięzionym w tym orężu od bardzo dawna. Poprzedni człowiek, który mógł mnie usłyszeć zmarł trzy tysiące lat temu. Był, tak jak ty, nekromantą znającym Chaos. - odparł miecz. Mogłem się tego spodziewać. Miecz o własnej świadomości! Ha, może jeszcze sam prowadzi rękę do walki?

- I owszem, wielu tak sądziło. - usłyszałem.

- A mógłbyś nie podsłuchiwać moich myśli? - spytałem poirytowany.

- Dobra, zapadam w sen. Obudź mnie na walkę, kiedy tylko będę ci potrzebny. - otrzymałem przekaz po czym Ostrze Śmierci nie odezwał się więcej. Moje życie stawało się coraz ciekawsze. Rozmyślenia przerwał mi O'Kaugęg.

- Wyruszamy, już zmrok. - rzekł. Zgodziłem się bez wahania. Łyknąłem garść amfetaminy, popiłem kofeiną.

Sam nie spodziewałem się takiego kopa. Staralem się kontrolować, ale było mi coraz ciężej. Zbliżając się do bram miasta czułem narastający we mnie gniew. Ostrze Śmierci niespokojnie wiercił się w pochwie. Przed samą bramą nie wytrzymałem i rzuciłem się naprzód. Wyrwałem runiczny miecz z pochwy i rozplątałem pierwszego strażnika. Przestałem myśleć. Oręż wysał duszę z nieszczęśnika oddając mi część pozyskanej energii. Stałem się jednością ze swym mieczem, który był jakby przedłużeniem mojej ręki. Tak jak on pragnąłem każdej kolejnej śmierci. Kierowany czystą nienawiścią wpadłem na ulice miasta. Armia nieumarłych z wielkim łaskotem poczęła zbierać krwawe żniwa. Słyszałem wszędzie krzyki mordowanych. Nie oszczędzano nikogo. Oddzieliłem się od rzezi i pobiegłem w stronę lochów. Drogę zagroziło mi dwudziestu strażników. Jak berserker w bojowym szale uderzyłem na nich. Ostrze Śmierci śpiewał potępieńcze pieśni pożerając kolejne dusze. Cała sztuka szermierki, której nauczyłem się w wieży Sh'Yofbura była niczym w porównaniu do tej walki. Teraz zrozumiałem czym jest taniec śmierci. Półobroty, których nigdy bym nie wykonał, skoki na wysokość dwóch metrów normalnie mordercze dla mięśni. Coraz to nowsze dusze stały się mym narkotykiem, który dodawał mi sił. Nienawiść w najczystszej postaci, która mną kierowała nie pochodziła tylko z mego wnętrza. Czułem jak wypływa z miecza do ciała. Krew zalewała moje szaty. Serca, mózgi i inne części ciała strażników lądowały po kolei na ziemi. W idealnej harmonii z ostrzem po rozprawieniu się ze strażą wpadłem do lochów. Bez problemu rozciąłem stalowe kraty. Niestety nie byłem w stanie się kontrolować.

Pamiętam jak dziś strach w oczach mordowanych przeze mnie druidów. Już miałem zabić Xaomeę, kiedy przyszło opamiętanie. Miecz żądał kolejnej duszy, tak, że z trudem włożyłem go do pochwy. Xaomea patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Co ty robisz? - spytała.

- Nie wiem. Ten miecz zdaje się mnie kontrolować, mimo, iż powinno być na odwrót. Będę musiał odbyć z kimś długą, telepatyczną rozmowę. - odparłem. Nie było jednak czasu na wyjaśnienia. Wyszliśmy na zewnątrz. Naszym oczom ukazał się niezwykle widok.

Nieumarłych nie było już w mieście. Wszędzie leżały ciała zabitych. Właściwie to nie zabitych, tylko zmasakrowanych. Rozwleczone po bruku wnętrzości ludzkie i strugi krwi spływające do kanałów ściekowych dodawały piękna widokom. Po mieście szaleli nekromanci, gwałcąc pozostałe przy życiu kobiety i mordując dzieci, które zdołały się ukryć.

- Nie mogę na to patrzeć, to potworne! - stwierdziła Xaomea. Miała rację. Nie wiadomo skąd wyskoczył O'Kaugęg miotający na wszystkie strony błyskawice.

-Opanuj się, człowieku! Co ty robisz? - wrzasnąłem.

- Świętuję zwycięstwo. - odparł. - Chodźmy może w jakieś spokojne miejsce. - dodał. Wydawało mi się to bardzo rozsądne. Przedzieraliśmy się wśród potępieńczych krzyków i wrzasków „Heil, Zeit heil!”. Weszliśmy do mojego dawnego domu. Z pozostałej w szafce wódki zrobiłem moim towarzyszom drinki i zaczęliśmy rozmawiać. Xaomea powiedziała O'Kaugęgowi co działo się w lochach.

- Pokaż mi ten miecz - powiedział. Zrobiłem to. - To Ostrze Śmierci, legendarny miecz z uwięzionym

wewnątrz demonem. Nie sądziłem, że istnieje. Mówisz, że nie mogłeś zabić Xaomei? - rzekł.

- Dokładnie tak. Po prostu przyszło opamiętanie. - odpowiedziałem.

- Nieprawdę mówisz choć sam o tym nie wiesz. Miecz ten wzmacnia twoją nienawiść równie silnie jak inne uczucia. Możesz na zawołanie odczuwać radość, żal, smutek. Podczas walki wpadłeś w szał bojowy. Teoretycznie to, że Xaomea jeszcze żyje jest niemożliwe. - stwierdził - Chyba, że o czymś nie wiem...

- obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. A skąd ja miałem wiedzieć? Odszedłem do innego pokoju, żeby porozmawiać z Ostrzem Śmierci.

- Człowieku, jesteś chodzącą burzą uczuć. Tyle, że to co się stało jest niemożliwe. - rzekł miecz.

- Tyle to już słyszałem. Ale co to było? - spytałem.

- Ona zginie i to w niedługim czasie. Wykończysz ją własnym umysłem. - odparł.

- Psia mać, możesz wyrażać się jaśniej?!? - wrzasnąłem we własnych myślach.

- Czy ty tego nie widzisz? To jest miłość, i to odwzajemniona. Ale to i tak nie ma znaczenia, bo ją zabijesz. - Ostrze Śmierci był dosyć bezpośredni. Te słowa zapadły mi w umysł bardzo silnie.

- Jeśli jest jak mówisz, dlaczego miałbym ją zabijać? Czy ma to jakiś cel? W zasadach Chaosu była wzmianka o braku miłości, ale nie znalazłem żadnego uzasadnienia.

- Wytlumaczę to najprościej jak umiem: Albo zostawisz Chaos, albo przestaniesz kochać, albo ją zabijesz. Innego wyjścia nie ma. Chyba nie mógłbyś zostawić Chaosu. A z resztą ja już siedzę cicho, bo zdaje się, że się zaczęło. -

miecz wyraźnie skończył konwersację. Nie wiedziałem dokładnie o co mu chodzi.

- Rakacie szybko! Xaomei coś się stało! - usłyszałem wrzask O’Kaugega. Xaomea leżała na łóżku zwijając się z bólu.

- To nie jest ból fizyczny... To mój umysł chce uciec z ciała. - wyszeptała.

- Myśl, Rakacie, myśl logicznie. Musisz porzucić Chaos przynajmniej na razie... myśl! - nakazałem sam sobie. Odpiąłem miecz od pasa i rzuciłem go w ką.

Natychmiastowo przyszło opanowanie. Xaomea poczuła się lepiej.

- Słyszałam rozmowę z demonem miecza. Nie wiem jak, ale byłam z tobą połączona telepatycznie. Kiedy zacząłeś wchodzić w trans chaotyczny poczułam ból. Nie ustawał on, stawał się coraz silniejszy. Ale jestem szczęśliwa. Ponieważ Ostrze Śmierci miał rację. - powiedziała. Ja nie mogłem już odezwać się ani słowem. O’Kaugeg wyczuł sytuację i wyszedł. Przytuliliśmy się do siebie nie mówiąc. Położyliśmy się na łóżku zbyt zmęczeni, żeby chociaż otworzyć usta. Moje ciało przeszło morderczy wysiłek podczas walki, a jej psychika podczas mojego transu. Zasnęliśmy oboje bardzo szybko, nie mogąc się nawet poruszyć.

Rozdział XI - Mój ojciec

Obudziliśmy się o piątej rano. Zaczęliśmy rozmawiać. O wszystkim. Zbyt długo musiałbym o tym opowiadać. Wiedziałem, że teraz moje życie nie będzie takie jak dawniej. Byłem szczęśliwy, ale nie dane mi było długo zaznawać szczęścia. Główny temat rozmowy stanowiła moja przeszłość. Od trzeciego roku życia mieszkałem w Agrijecie. Wychowywała mnie matka i ojczym. Prawdziwego ojca nigdy nie spotkałem. Nie dane mi było też o nim słyszeć. Matka była naturalną Chaotką, ale dla ojca wyrzekła się swych zasad. Wszyscy mi mówili, że mam jej oczy. Zmarła kiedy miałem czternaście lat. Skończyłem szkołę i zostałem kapłanem. Jednak z powodu moich poglądów stanąłem przed sądem. Resztę już chyba znacie. Xaomea też ją знаła, więc opowiadać jej nie musiałem. Dochodziła ósma, kiedy zjawił się u mnie Samael, dowódca nekromantów.

- Musimy porozmawiać. Myślę, że dojrzałeś już do tego.
- powiedział. Wyszliśmy. Odeszliśmy na odpowiednią odległość, aby nikt nam nie przeszkadzał.
- Zapewne zauważyłeś już między nami pewne podobieństwa. Otóż jestem twym prawdziwym ojcem. Nie wiem co mówiła ci matka, ale teraz, kiedy Agrijet nie istnieje możesz dowiedzieć się prawdy. - rzekł. Po raz kolejny w ciągu kilku dni odebrało mi mowę. Ojciec chyba to zauważył, lecz nie wzruszony ciągnął. - Mam czterysta pięćdziesiąt trzy lata i nie mogę umrzeć. Byłem w twoim wieku, gdy zacząłem studiować nekromancję.

Wkrótce potem trafiłem do Viuw. Tam przyjęto mnie jak brata, odnalazłem swój dom. Pewnego dnia do mojej nowej ojczyzny przyjechała twoja matka w towarzystwie młodego adepta Chaosu, Sh'Yofbura. Sądząc po twoim stylu walki spotkałeś go w swej tułaczce. On miał ambicje zostać nieśmiertelnym władcą magyi, ona szukała spokoju ducha. Pokochaliśmy się wzajemnie. Nasze szczęście nie trwało jednak długo. Rozpoczęły się, jak wiesz, wojny nekromantyczne. Śmierć wisiała w powietrzu. Przestraszony możliwością straty ukochanej, wezwałem samego Rauga. Zażądałem nieśmiertelności dla siebie i dla niej, w zamian za duszę mego pierworodnego syna. Zgodził się, podpisaliśmy układ krwią. Wkrótce wyruszyłem na wojnę. Zakończyła się pokojem, ale pochłonęła bardzo wiele ofiar. Synowie Śmierci, jak nas wtedy nazywano, zabijali z zimną krwią wszystkich, którzy mieli odwagę stanąć im na drodze. Wtedy pojawiła się nowa szkoła magyi. Magowie energetyczni, czerpiący siłę z przestrzeni kosmicznej powstrzymali pochod śmierci. Wojna została zakończona, ale tego, co zostało zaprzepaszczone nie da się już uratować. Wtedy, razem z Sh'Yofburem i twoją matką zeszlśmy do piekła poprzez odpowiedni rytuał. Tam Raug znowu poszedł nam na rękę. Wtedy to został w piekielnym ogniu wykuty miecz. Każdy z nas dał co mógł. Ja wlałem w niego moc nekromancji, twoja matka dała swą uczuciowość, a Sh'Yofbur tchnął weń życie demona. Tak powstał Ostrze Śmierci. Miał on chronić ludzkość przed ponowną wojną. Jednak wymknął się spod kontroli i Sh'Yofbur musiał go przechowywać w swej wieży. Utrzymywał się przy życiu tak długo dzięki narkotykom. Czekał, aż przybędziesz i zabierzesz miecz.

Raug za wykucie miecza zażądał wysokiej ceny: miałem spłodzić syna. Zwlekaliśmy najdłużej jak było można jednak kiedy bóg zła czegoś chce, nie można mu odmówić. Tak zostałeś poczęty. Chroniąc cię przed Raugiem twoja matka postanowiła wyrzec się magyi i wychować cię tam, gdzie nie mógłby cię znaleźć. Wtedy została jej odebrana nieśmiertelność. Swoich dni dożyła w Agrijecie, a resztę znasz sam. Ja zostałem we Viuw. To chyba wszystko. Przemyśl to, co ci powiedziałem. I nie daj się zabić.

- Chwila, ojczu. Mój mistrz mówił coś o poprzednich właścicielach miecza. Możesz to wyjaśnić? - spytałem.

- Oczywiście. Miał cię okłamywać tak długo, aż będziesz gotowy przyjąć prawdę. Noś ten miecz z godnością i nie nadużywaj go. - rzekł. - Teraz cię opuszczę, muszę wracać z armią do Viuw. Tam jest mój dom. Muszę ci tylko powiedzieć to, że ty także jesteś nieśmiertelny. Twój rozwój fizyczny zatrzyma się w wieku dwudziestu pięciu lat. A teraz żegnaj, mój synu.

Ojciec odszedł w mrok i nie dane mi było zobaczyć, dokąd poszedł. Mało mnie to zresztą obchodziło. Miałem do niego żal za to, że opuścił moją matkę. Do białego rana zajęty byłem przemyśleniami. Tak, naprawdę był moim ojcem i nie ulegało to wątpliwości. Rano znalazła mnie Xaomea.

- Gdzie byłeś całą noc? Martwiłam się o ciebie. - spytała.

- Dzisiejsza noc będzie chyba przełomem w moim życiu. Nie chcę do tego wracać. - odparłem.

- Dobrze. Nekromanci już pojechali. Ich dowódca kazał ci to dać. - powiedziała Xaomea, dając mi spisany krwią list.

Jeśli mielibyśmy się więcej nie zobaczyć
chcę żebyś wiedział, że powinienes
dokończyć to, co zacząłeś. Chciałbym też
mieć wnuka. Pamiętaj o jednym: Raug
będzie cię ścigał zawsze. Mnie zapewne
wkrótce dopadnie, ponieważ moje
przeznaczenie już się wypełniło. Do
zobaczenia w piekle. Heil, Zeit heil!

Twój ojciec
Samael de Rast

Ten list był przypieczętowaniem mojego życia. Miałem
cel. Wyczerpany siedzeniem przez całą noc położyłem
się spać.

Rozdział XII - Koniec z przeszłością.

Obudziłem się o zmierzchu. Byłem wypoczęty i uradowany. Moje życie wreszcie zaczęło się układać. Znalazłem sobie kobietę, poznałem swoją przeszłość i wyznaczyłem cel życiowy. Czego więcej można chcieć? Xaomea pierwsza zauważyła, że wstałem. Zaczęliśmy rozmawiać. Nastąpiła długa wymiana poglądów. Właściwie to długi monolog, musiałem się komuś wygadać. W końcu Xaomea uciszyła mnie. Wspólnie stwierdziliśmy, że chcemy się pobrać. Był to początek nowych kłopotów. O’Kaugęg popierał ten pomysł.

- W takim razie trzeba ustalić datę i miejsce ślubu. - rzekł

- O datę nie trudno, jak najszybciej będzie to możliwe. Natomiast miejsce... Żaden kościół nie udzieli ślubu heretykowi. - odparłem.

- Jest taki kościół. Weźmiemy ślub nekromantyczny, pojedziemy do Viuw. - powiedziała Xaomea. Na tym stanęło. Zresztą sam nie miałem lepszych pomysłów. Wyruszyliśmy więc w stronę Viuw. Musieliśmy przejechać przez Lasy Quinry. O’Kaugęg chciał jeszcze po raz ostatni zobaczyć Las Druidów. Dotarliśmy tam w rekordowym czasie. Spędziliśmy resztę nocy siedząc przy ognisku i wspominając to, co razem przeszliśmy. Rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Tuż przed samym Viuw zostaliśmy zaatakowani przez stado Izesów. Stworzenia te są odporne na magię, wobec czego

mieliśmy nielichy problem. Cztery z nich okrążyły mnie i Xaomeę. O’Kaugę zamknął się w energetycznej kuli. Musiałem działać szybko. Wypiłem duszkiem butelkę czystej kofeiny. Jedno ze stworzeń rzuciło się na druidkę. Bez zastanowienia wyrwałem Ostrze Śmierci z pochwy. Taniec ze śmiercią. Odciałem łeb pierwszemu zwierzowi, kiedy dwa następne rzuciły się na mnie. Zręcznym półobrotom rozplątałem pierwszego, lecz drugi ranił mnie w ramię. Nie poczułem bólu. Miecz pałał czystą nienawiścią, którą jednak byłem w stanie kontrolować. Skierowałem energię w ranne miejsce po czym prostym cięciem odciałem łeb drugiemu Izesowi. Pragnienie śmierci stawało się we mnie coraz silniejsze. Rzuciłem się na pozostałe jaszczury, które zręcznymi ruchami uciekły za pobliskie skały. Z trudem schowałem Ostrze Śmierci z powrotem do pochwy.

- Brawo, Rakacie, widzę, że panujesz już nad sobą. - rzekł O’Kaugę. - Takie nagromadzenie Izesów w jednym miejscu to nic dobrego. Stworzenia te to padlinożercy. Gdzieś tutaj była rzeź.

Przyjąłem to bez komentarzy. Zresztą i tak były zbędne. Ostatnie dwa kilometry dzielące nas od Viuw pokonaliśmy już bez problemu.

- Pojadę przodem. Zapowiem nasze przybycie. Nie ufam tutejszym strażnikom. - powiedziałem przymuszając konia do galopu. Przed bramą jednak nie zastałem nikogo. Wjechałem do miasta. Ulice były puste, w domach nie paliło się światło. Bramy zamku zastałem zmasakrowane. Zostawiłem konia przed wejściem i wkroczyłem do sali tronowej. Na tronie leżała notatka, w okolicy nie było żywej duszy.

Broniliśmy się najdłużej jak to było możliwe. Nasi nieumarli zbuntowali się przeciw swym stwórcom. Zostało nas tu tylko pięciu. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzyma brama zamkowa. Piszę to, żeby ten, kto to czyta wiedział, że było tu kiedyś tętniące życiem miasto. Viuw, ojczyzna nekromancji upada pod naporem własnych zaklęć. Sam Raug zwrócił przeciw nam swą moc, opanowując nasze sługi. Śmierć wisi w powietrzu. W walce poległo wielu wartościowych magów. Wszyscy musieli walczyć mieczami, gdyż magia śmierci nie czyni krzywdy własnym sługom. Niestety nikt z nas nie jest rycerzem i żaden nekromanta nie potrafi walczyć wręcz. Prawdopodobnie wszyscy wkrótce umrzemy. Wędrowcze, mamy do ciebie jedną prośbę. Zawiadom Rakata z Agrijetu, ostatniego nekromantę pozostałego przy życiu. Nadszedł nasz czas. Nekromancja to religia. Zła religia.

*Samael de Rast,
dowódca legionów
nekromantycznych*

Czytając to wpadłem w rozpacz. Straciłem ojca, przyjaciół i własne korzenie. Razem z Viuw umarła część mnie. Pograżony w rozpacz nawet nie zauważyłem, kiedy przybyli O’Kaugeg z Xaomeą.

- Zobaczyliśmy otwarte bramy miasta bez strażników. Wjechaliśmy i zamknęliśmy je od środka. Rakacie? Słyszysz mnie? - O’Kaugeg był wyraźnie zdziwiony. Byłem w stanie tylko wysunąć rękę z kartką w jego stronę. Oboje przeczytali wiadomość. Nie zdążyli nic powiedzieć, gdyż pod bramą miasta usłyszeliśmy dziwne hałasy. Pobiegliśmy w tamtą stronę.

- Zombie! Około trzydziestu zombie! - wrzasnęła Xaomea. O’Kaugeg zabarykadował bramę zasuwą. Pękła ona pod naporem martwych mięśni.

- Uciekajcie! - krzyknąłem. - We Viuw jest jeszcze jeden nekromanta, gotowy okupić ojczyznę własną krwią! - mówiąc to wyszarpnąłem miecz z pochwy. Był wyraźnie uradowany. Dawka amfetaminy doładowała mnie dodatkową energią i przyspieszyła ruchy. Miecz czuł potępione dusze kłębiące się za bramą. O’Kaugeg wziął Xaomeę i razem pobiegli do zamku. Ledwo zdążyli wejść, a brama pękła. Zombie wsypali się do środka.

- Wracać do grobu, potępieńcy! - krzyknąłem. Wskoczyłem między nich. Potężny psychiczny ból po stracie ojca został spotęgowany strachem o życie Xaomei. Jeśli zombie wejdą do zamku tylko O’Kaugeg będzie mógł jej bronić. Sama nie zrobi nic znajdując się tak daleko od lasu. Opanowała mnie ślepa wściekłość, strach, ból i nienawiść. Niewątpliwa zasługa narkotyku i oręża. Miecz cieszył się z burzy emocjonalnej mego umysłu. Taniec ze śmiercią. Potężnym cięciem

pozbawiłem głów dwóch umarłaków. Kolejny zadał mi cios od tyłu, który bez problemu odparowałem. Podniosłem z ziemi jakąś szmatkę, którą zawiązałem sobie oczy. Nie myśl. Czuj to. Ostrze Śmierci sam kierował moją ręką. Rozplątałem jeszcze trzech truposzy. Miecz z potężnym wyciem wysysał kolejne dusze. Opętany rządzą krwi uderzyłem na pozostałych zombie.

- Heil, Zeit heil! - wrzasnąłem. W tym momencie straciłem kontrolę nad samym sobą. Było to przypieczętowaniem zemsty. Słodkiej zemsty. Głowa za głową, dusza za duszą. Zabijałem w opętaniczym szale. Każda kolejna śmierć dawno już zmarłej istoty napawała mnie dodatkową wściekłością. Kiedy łeb ostatniego nieumarłego upadł na ziemię nie byłem już w stanie wydać z siebie najmniejszego dźwięku. Totalnie wyczerpany walką schowałem oręż do pochwy. Upadłem na bruk pomiędzy ciałami. Nie mogąc się poruszyć patrzyłem w puste oczodoły leżącej obok mnie głowy. Zasnąłem z wycieńczenia.

Rozdział XIII - Ślub złej religii

-Wstawaj! No wstawaj do Izesowej rzyci! -
usłyszałem nad sobą głos. Był to głos człowieka, którego prawie nie znałem. A jednak oddałbym za niego życie. Nade mną stał mój ojciec. Pomyślałem, że to sen. Podniosłem się i poczułem przesywający ból kręgosłupa od spania na bruku. To nie był sen.
- Ojcze... ty... żyjesz? - spytałem.
- Nie jest łatwo mnie zabić. Razem z towarzyszami ukryliśmy się w lochach zamku. Nieumarli to istoty bardzo głupie, nie pomyślały gdzie nas szukać. W ten sposób przeżyliśmy. Ale nie mówmy o tym. Trzeba wyprawić zbiorowy pogrzeb poległym połączony z twoim ślubem. - powiedział. Zgodziłem się z nim. Korzystając z pozostałej nam części dnia wybraliśmy się na polowanie. Poszło dosyć bezproblemowo. Wróciliśmy niosąc cztery zabite Izesy. Ojciec nauczył mnie, jak je oporządzać. O zmroku piekły się już na ogniu, a my zlewaliśmy krew do beczki. Znieśliśmy ciała nekromantów z całego miasta i położyliśmy na wspólny stos. Brakowało tylko kapłana, ale miałem opis rytuału ślubu. Pogrzeb jest dość prosty, a zresztą do tego potrzebny był tylko jeden nekromanta. Ojciec podpalił stos i wręczył mi sztylet. Wiedziałem co mam zrobić. Naciałem skórę na rękę mojej i Xaomei. Oboje wypiliśmy trochę krwi z rany drugiej osoby. Nekromancja nie przewiduje w tym miejscu żadnych słów. Ja jednak musiałem się odezwać.

- Kaos Keraonul Keraonus! - wrzasnąłem. Miecz przy moim boku był wyraźnie ucieszony tymi słowami. Runiczny oręż zaczął śpiewać w mym umyśle balladę. O czym? A o czym on może śpiewać? O śmierci oczywiście. W tym momencie za sprawą Ostrza Śmierci dokonałem stałego połączenia umysłu mego i Xaomei. Jednak teraz wiedziałem, że nie wyrządę jej krzywdy. Mogłem wrócić do nauk Chaosu. Na zwieńczenie połączenia pocałowałem ją. Biorąc pod uwagę sposób w jaki się odwzajemniła byliśmy już nierozzerwalni. Pod względem psychicznym, rzecz jasna. Zabawa się rozpoczęła. Złapałem kielich wypełniony krwią Izesą zmieszaną z bimbrem własnej roboty.

- Za Śmierć i Chaos! - krzyknąłem - (i za nowe życie) - dodałem w myślach, po czym wypilem zawartość kielicha. Ta noc była jak niespełniony sen. Zabawa trwała do białego rana. Dwadzieścia litrów krwi, pięćdziesiąt kilogramów mięsa i beczka bimbrowa. Chyba nigdy tego nie zapomnę. Nie było niestety muzyki gdyż nikt nie odważył się przywołać nieumarłych. O wschodzie straciłem przytomność.

Rozdział XIV - Gelimo

Obudził mnie potężny kac. Nie byłem w stanie nawet wstać. Spałem pod jednym ze stołów. Pamiętając nekromantyczną recepturę leku na kaca ostatkiem sił poszedłem do szpitala. Spotkałem tam Xaomeę.

- Jeszcze raz będziesz spał wtedy, kiedy jesteś mi potrzebny, a obiecuję, że zginiesz. - powiedziała.

- Wybacz, za dużo wypilem. A poza tym nie boję się śmierci. - odparłem.

- Dobra dawaj to coś na kaca, co dostałam podczas naszej poprzedniej wizyty we Viuw. - rzekła.

Przyrządziłem eliksir. Wypiliśmy go oś zgonie. Nie musiałem ujawniać receptury. Wyszliśmy ze szpitala wreszcie trzymając się sztywno na nogach. Na dziedzińcu spotkaliśmy mojego ojca z O'Kaugegiem. O czymś rozmawiali.

- Witaj O'Kaugegu. Zeit heil, ojcze. - powiedziałem.

- Rakacie, musimy wyruszać w dalszą drogę. Za miesiąc na tej planecie zapanuje prawdziwe piekło. Pole grawitacyjne Sesugg przyciąga do nas coraz bardziej małą planetę zwaną Herub. Planeta ta, o rozmiarach połowy Sesugg, zmieniła swą orbitę wokół naszego słońca i wpadła w pole grawitacyjne naszego świata. Jest ono na tyle silne, że kiedy Herub znajdzie się pomiędzy Sesugg, a Muthą, zostanie rozerwana na drobne odłamki. Grudy skalne o średnicy około tysiąca kilometrów zaczną spadać na powierzchnię. Atmosfera Sesugg jest zbyt cienka, żeby całkowicie je spalić. Ostatecznie w powierzchnię uderzy kilkaset grud skalnych o średnicach

nie większych niż dwieście kilometrów. Mówię to jako astronom. - zakończył wywód O’Kaugeg.

- Synu, musimy porozmawiać na osobności. - rzekł mój ojciec. Poszliśmy do pałacu. Usiedliśmy przy stole w sali obrad.

- To, co mówi O’Kaugeg jest prawdą. Myli się tylko co do terminu zagłady. Nasi specjaliści wyliczyli, że nastąpi ona za około trzy miesiące. Nie dane mi jednak będzie jej dożyć. Raug wysłał nieumarłe legiony przeciw Viuw. Nawet z Ostrzem Śmierci nie mamy najmniejszych szans. Musimy też zachować naszą wiedzę dla przyszłych cywilizacji, które rozkwitną na Sesugg. To miasto jest moim domem, tutaj chcę zginąć. Ty jednak uciekaj. Jedź do Esrumag, popłyn do Valibeku i uciekaj z tej planety. Nie wiem, gdzie może być inny świat. Jednak wierzę O’Kaugegowi. Jeśli jest szansa na ocalenie musisz z niej skorzystać. - powiedział.

- Nie zostawię cię tutaj. - odparłem. W tym momencie do sali wpadł jeden z nekromantów.

- Idą! Tysiące, setki tysięcy nieumarłych! Za dwie godziny będą przy bramie! - krzyczał.

- Nie mamy więc wiele czasu. Jedź, mój synu. Uciekaj. - rzekł ojciec. Uznając dalszą dyskusję za niepotrzebną, zebrałem prowiant na drogę, zabrałem Xaomeę i O’Kaugega. Wyruszyliśmy najszybciej jak się dało. Galopowaliśmy w stronę granic Baatelu. Po ośmiu godzinach ciągłego galopu przystanęliśmy na pustyni. Za nami widoczna była łuna miasta. Światło płonącego miasta. Byłem ostatnim nekromantą. Czuję się jak szczur. Szczur, uciekający z tonącego statku. Byłem jednak na swój sposób z tego dumny. Położyłem się spać

dumny z tego, co osiągnąłem. Rozmyślając nad swoim dalszym losem.

Podróż przez Baatel minęła szybko. Ludzie z tego kraju są pokojowo nastawieni do innych. Już po jednym dniu dotarliśmy do granic Zeuv. Stolica tego kraju, Gelimo, była widoczna na horyzoncie. Wjechaliśmy do miasta rozglądając się za jadłem i noclegiem. Weszliśmy do pierwszej napotkanej karczmy.

- Witam. Rzadkością jest widzieć nekromantę w tych stronach. Zazwyczaj nie zapuszczają się na północ. - rzekł oberżysta. Rzuciłem na blat garść złota od ojca.

- Szukamy pożywienia i noclegu. - powiedziałem. Złoto szybko wniknęło w chciwe łapy karczmarza.

Otrzymaliśmy barana pieczonego na ogniu i kilka butli wina. A także dwa pokoje. Byliśmy wyczerpani podróżą. Po obfitej kolacji zasnęliśmy szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Rano obudziłem się lekko zdziwiony. Xaomei koło mnie nie było. Zszedłem na dół do jadalni. Siedziała z O'Kaugegiem przy stole, jedli śniadanie. Przyłączyłem się do nich. Po posiłku wyruszyliśmy w dalszą drogę. Jednak jeszcze przed opuszczeniem miasta zostaliśmy zatrzymani przez pięć postaci w czarnych habitach. Były to w ten sposób odziane szkielety. Jeden z nich wysunął w moją stronę rękę z wiadomością. Była to kartka od ojca że mam stawić się we Viuw. Jednak coś bardzo mnie zaciekawiło. Dlaczego nie podpisał się imieniem, jak zwykł czynić? Wyszarpnąłem Ostrze Śmierci z pochwy i w dość krótkim czasie rozprawiłem się ze szkieletami. Wiadomość spłonęła mi w palcach.

- Hmm, moim skromnym zdaniem ktoś tu chce cię zabić. - rzekł O'Kaugeg.

- Fakt. Ciekawe tylko, komu na tym tak zależy. Raczej nie Raugowi, gdyż nasłabły kogoś poważniejszego. Ale jestem przecież ostatnim nekromantą. - powiedziałem.

- To robota Rauga. Wszystkie szkielety mają przy boku różdżki nekromantów, więc za życia nimi były. Widać chciał cię nastraszyć. - wtrąciła Xaomea. Nie uznawałem za konieczne dalej wypowiadać się w tej kwestii, więc po prostu ruszyliśmy dalej. Równy galop przez dwanaście godzin na dobę dał nam pożądaný efekt. Po dwóch dniach stanęliśmy na przy bramie Esumag.

Rozdział XV - Esumag

Esumag było niedużym, acz bogatym miastem. Było tak zapewne dlatego, że utrzymywało się z handlu rybami. Podeszliśmy do bramy.

- Czego tu? - spytał strażnik.

- Szukamy statku, który zabrałby nas do Valibeku. - powiedziałem. Strażnik, nie wiedząc czemu zaczął się śmiać.

- Kolejni szaleńcy. Proszę bardzo, możecie wjechać. Macie naprawdę nierówno pod sufitem. - rzekł. Jakoś mnie to nie cieszyło. Za wszelką cenę musiałem się dowiedzieć dlaczego strażnik przy bramie się z nas śmiał. Pojechaliśmy do portu. Wszedłem do pierwszej napotkanej tawerny, zresztą jedynej w tym porcie.

- Czy jest tu jakiś żeglarz, który popłynąłby do Valibeku? Mam pieniądze. - powiedziałem. Całe towarzystwo zaniosło się śmiechem. Przy jednym ze stolików jakiś stary marynarz spokojnie palił fajkę.

- Podejdz no tu, młody człowieku. - rzekł. Zrobiłem co mówił.

- Wie pan dlaczego oni się śmiali? - spytałem.

- Oczywiście. Nikt tutaj nie wierzy w istnienie Valibeku. A może wierzą, tylko boją się tam płynąć. Jestem już stary i od urodzenia mieszkam w tym mieście. Niejedno widziałem na oceanie. Pomędzy naszym lądem a Valibekiem jest głęboki rów w dnie morskim.

Zamieszkały jest on przez inteligentne istoty, które nie lubią intruzów. Odczytałeś znaki na niebie, prawda?

Wiesz o zagładzie, widzę to w twoich oczach. Ja także

chciałbym płynąć na północ, ale nie mam własnego statku. Gdybyś miał pieniądze na kupno jakiejś łajby, służyć swoim doświadczeniem żeglarskim. - rzekł.

- Dobrze, gdzie mogę pana znaleźć? - spytałem.

- Codziennie jestem w tej tawernie, wieczorem zawsze mnie tu znajdziesz. - odparł. Wobec takiego obrotu sprawy całe moje zadanie sprowadzało się do kupna żaglowca. Miałem jeszcze sto sztuk złota od ojca. Udałem się więc do portu. Kupno łodzi nie jest wcale taką prostą sprawą. Jest tak dlatego, że mało jest ludzi chcących ją sprzedać. W końcu jednak udało mi się znaleźć rybaka chcącego przejść na emeryturę. Dobiliśmy targu. Dałem całe swoje złoto i spisałem umowę na płacenie starcowi stałych procentów od zysku. Nie miałem mu nawet zamiaru mówić, że nie trudnię się rybołówstwem. Wróciłem do tawerny po starego żeglarza. Weszliśmy na pokład mojego nowego nabytku.

- Zaprawdę, jesteśmy szaleni. - rzekł. - Ale co tam, możemy płynąć. Zamierzam zamieszkać w Valibeku. Jestem Meug. - dodał.

- Rakat z Agrijetu. Mój cel podróży jest nieistotny. - powiedziałem. Przedstawiłem resztę kompanii i zapadła decyzja o wypłynięciu.

Rozdział XVI - Valibek

Woda jest pięknym żywiołem. Uświadomiłem sobie to zaraz po wypłynięciu. Pięknym, ale niebezpiecznym. Z pozoru spokojna toń w czasie burzy przekształca się w falującą śmierć. Tak sobie leżałem na dziobie i rozmyślałem. W pewnym momencie zauważyłem chmury na kursie. Pobiegłem do sterówki.

- Chyba mamy kłopoty. Będzie burza. - powiedziałem.
- Nie takie rzeczy już w życiu oglądałem. Zwińcie żagle.
- rzekł Meug. Zrobiłem, co było trzeba. Akurat, kiedy uporałem się z ostatnim żaglem zaczął padać deszcz.

Zszedłem pod pokład, dołączając do Xaomei i O'Kaugega. Po pewnym czasie przyszedł też Meug. W ciągu dosłownie kilku minut statek rozkołysał się tak, że prawie dotykał burtami wody. Jakoś udało nam się przetrzymać burzę. Wyszliśmy na pokład, obejrzeć zniszczenia. Wyglądał jak prawdziwe pobojojisko. Połamane maszty, podziurawione żagle. Na środku stała dziwna istota. Była to forma życia bardzo przypominająca ludzi, tyle, że o niebieskiej skórze i głębokich, granatowych oczach.

- Tego się obawiałem. Ludzie morza. Kryć się!!! - wrzasnął Meug i uciekł pod pokład. Z ręką na rękojeści miecza podszedłem do istoty.

- Wyglądasz na inteligentnego. Mówisz we wspólnym? - spytałem.

- Owszem. Jestem Taon. Jak słusznie zauważył twój towarzysz, należę do rasy nazywanej na kontynencie „Ludźmi Morza”. Gdyby to ode mnie zależało, wszyscy

byście już nie żyli. Żeglarze sami nie wiedzą, czego się obawiali. Bali się mojej rasy, a powinni bać się sztormów nawiedzających te wody. Jako gatunek nie pomagamy z zasady innym. Dlatego każdy, kto tędy próbował płynąć, zginął. Z wami jest inaczej, ale zawdzięczacie to tylko sobie. - rzekł.

- Jak mam to rozumieć? - spytałem.

- Jesteś magiem wody. Sam sobie odpowiedz. - odparł Taon i skoczył w głębiny. Tak. Wiedziałem o co mu chodziło. Woda, jako mój naturalny żywioł nie mogła mnie zabić. Logiczne, ale i niezwykle zarazem. Dalsza podróż upłynęła nam dość spokojnie. W bardzo krótkim czasie dotarliśmy do brzegów Valibeku.

- Łąd! Ziemia na kursie! - wrzasnął podekscytowany Meug. Przybiliśmy do brzegu i za pomocą szalupy ratunkowej zeszliliśmy na ląd. Valibek to piękna kraina. Lasy klimatu przypominającego ziemską tundrę z wieczną zmarzliną ukrytą pod warstwą gleby. Do obrazka bardzo pasowała jeszcze rozległa, piaszczysta plaża. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że było tam zimno.

- Ja tu zostaję. Zamierzam osiąść tutaj z dala od cywilizacji. - powiedział Meug.

- Dobrze. Wobec tego żegnaj i powodzenia. - odparłem. Każdy wyruszył w swoją drogę i nie dane nam było więcej się spotkać. Nawet jakoś nie żałowałem. Wyruszyliśmy dalej, mając tylko mapę z jakichś starodruków i własną wiedzę. A może raczej niewiedzę, bo cierpieliśmy wszyscy na chroniczny brak wiadomości o krainie przez nas przemierzanej. I, oczywiście wkrótce zaczęły się kłopoty. Zostaliśmy okrążeni przez jakieś prymitywne istoty. Na dodatek nie znające wspólnego.

Najwyraźniej zostaliśmy uznani za intruzów, gdyż prymitywy zaatakowały nas swymi dzidami. Ostrze Śmierci wyraźnie ucieszył się takim obrotem sprawy. Zresztą ja także. Kolejne dusze stały się już teraz moim nałogiem. Garść amfetaminy dodała mi sił. Z zadowoleniem wyrwałem miecz z pochwy. Z radosnym okrzykiem na ustach ruszyłem do natarcia. Xaomea i O’Kaugeg miotali czarami. Zakłęcie za zaklęciem, cios za ciosem padały na glebę kolejne istoty. W pewnym momencie zauważyłem jednak, że jesteśmy zamknięci w jakiejś magicznej powłoce. Zacieśniła się, tak, że staliśmy przyciśnięci do siebie. Potem uformowała się w bańkę, która zaniósła nas do wioski prymitywnych istot. Wpadliśmy do jednej z chat, w której bańka prysła. Przed nami stał człowiek. Z krwi i kości.

- Witam. Zdaje, się że jestem jedyną osobą w tej wiosce, mówiącą we wspólnym. - powiedział.

- Dlaczego nas zaatakowano? I jakim cudem dostałeś się na wyspę? - spytałem.

- Mam kilku przyjaciół wśród Ludzi Morza. Kiedy tu dotarłem wraz z towarzyszami mieliśmy w zamiarze wydostać się z tego świata. Zapewne wiecie o takiej możliwości. Jednak tylko ja przeżyłem ten proces. - rzekł.

- My jednak zamierzamy dostać się do doliny i wyruszyć. Nie cofniemy się przed tym. - odparłem.

- Ja bym to zakwestionowała... - powiedziała Xaomea.

- Nic z tego, skoro już tu jesteśmy, to dopniemy swego. - powiedział na to O’Kaugeg.

- W takim razie będę waszym przewodnikiem. Znudziło mi się życie wśród tego ludu, który daje się omamić prostymi sztuczkami. Dla bezpieczeństwa lepiej nie znać

imion pozostałych. Igramy bowiem z Raugiem. - rzekł przewodnik. Przystaliśmy na to. Szczególnie, że mu nie ufałem. Podróż na wschód szła nam dość dobrze. Właściwie można było narzekać tylko na zimno, ale odpowiednia ilość bimbru załatwiała sprawę. Jednak dość szybko okazało się, że to tylko złudny spokój. Zostaliśmy zaatakowani przez pięć bardzo dziwnych stworzeń. Nie miały jednolitej formy. Wyglądem przypominały ziemskie ameby. Wyraźnie rysowała się tylko pokryta śluzem czaszka. Patrzyły z niej złowrogie, białe ślepia. Schowałem się za drzewo, gdzie połknąłem garść amfetaminy, zapijając czystą kofeiną. Poczekalem, aż zacznie działać, podczas gdy moi towarzysze rzucali czary ochronne. Wypadłem na wroga z morderczym krzykiem. Ostrze Śmierci zadźwięczało radośnie przy wyrwaniu go z pochwy. Taniec ze śmiercią. Uderzyłem na pierwszego stwora. Odciałem to, co zdawało się być kończyną. Natychmiast wyrosła nowa.

- Celuj w oczy, towarzyszu! - wrzasnął „przewodnik”. Po kilku powtórzonych ciosach dotarło do mnie co mam zrobić. Potężne cięcie zatopiło ostrze miecza w oku jednego ze stworzeń po samą rękojeść. Stwór ryknął z bólu, po czym zwałił się na ziemię. Potężna dawka energii witalnej wstrząsnęła moim ciałem. Rzuciłem się na pozostałe zwierzęta, atakując w morderczym szale. Nie mogłem się opanować. Z okrzykiem „Heil, zeit heil!” zaatakowałem „przewodnika”. O’Kaugeg próbował mnie zatrzymać. Jednak było już za późno. Dusza niedawnego towarzysza została wchłonięta przez Ostrze Śmierci.

- Bravo! To teraz nie mamy przewodnika. Opanowałbyś się kiedyś. - rzekł O’Kaugeg.

- Trzeba było mnie powstrzymać. - odparłem.
- Przestańcie się kłócić! Nasz zmarły towarzysz zostawił nam w spadku mapę. - powiedziała Xaomea. Faktycznie, zabrać mapę i kontynuować podróż - to najlepsze dostępne rozwiązanie w takim przypadku.
- Wobec tego ruszajmy dalej. - rzekłem i wyruszyliśmy. Zapadł już kompletny zmrok kiedy dotarliśmy do doliny.

Rozdział XVII - Nowy Świat

Dolina przypominała równiny dookoła Viuw. To, co ją wyróżniało, to grafitowa barwa skały pokryta porozrzucanymi kośćmi. Stanęliśmy na środku.

- Rakacie, dasz mi energię płynącą ze śmierci i Chaosu. Xaomea natomiast przekaże mi energię natury. Ja skupię to w sobie i przekształcę na elektryczność, która posłuży do uformowania kapsuły. - powiedział O’Kaugeg.

Wszyscy wiedzieliśmy, że możemy tego nie przeżyć. Połknąłem resztki amfetaminy z kofeiną. Wyrwałem miecz z pochwy i stanąłem plecami do towarzyszy. Tworzyliśmy swoisty trójkąt. Nie wiem jak wygląda stan przez nas osiągnięty u innych magów, ale opiszę swoje odczucia. Zanim zaczęły działać narkotyki całym ciałem, poprzez wampiryzm, czerpałem energię z trupów porozrzucanych wokoło. Po pewnym czasie czułem się na tyle swobodnie wśród śmierci, że mógłbym rozkazywać kto ma umrzeć. Domyśliłem się, że był to już stan wysokiej magii. Przekazałem energię O’Kaugegowi w tym samym momencie, kiedy narkotyki zadziałały. Miecz potęgował doznania. Musiałem tylko poszukać uczucia wystarczająco silnego, aby wprowadzić mnie w pożądany stan. Posłużyłem się nienawiścią w czystej postaci skierowaną przeciw mordercom mojego ojca. Coraz mniej kontrolowałem własny umysł. Czułem narastającą we mnie wściekłość, potęgowaną mocą miecza. Zabijaj... Nie! Trzeba było skoncentrować się na przekazie energii. Zacząłem czerpać z dodatkowego, wcale nie słabszego źródła.

Miłości do Xaomei. Kaos Keraonul Keraonus...
Chaotyczna miłość i nienawiść. W tym momencie umysł nie wytrzymał. Potężna dawka energii Chaosu została przekazana do O'Kaugega. Upadłem na ziemię. Straciłem przytomność.

Obudziłem się dopiero w kapsule energetycznej. Udało się. Nie będę tu opisywał piękna kosmosu, które widziałem. Ziemianie z reguły wiedzą, jak to wygląda.

- Rakat się obudził. Jak widzisz, towarzyszu, wszystko poszło po naszej myśli i znajdujemy się na orbicie Sesugg. Jako, że się obudziłeś możemy wyruszyć w podróż. - rzekł O'Kaugeg. Xaomea wpadła mi w ramiona w cichym przytaknięciu. O'Kaugeg skupił myśli nad wprowadzeniem kuli w ruch. W ciągu kilku sekund znaleźliśmy się na orbicie Księżyca. A więc to jest Ziemia. Patrzyłem z niedowierzaniem na widok na dole. Planeta istniała. Ale ciągle nie byliśmy pewni, czy możemy na niej lądować.

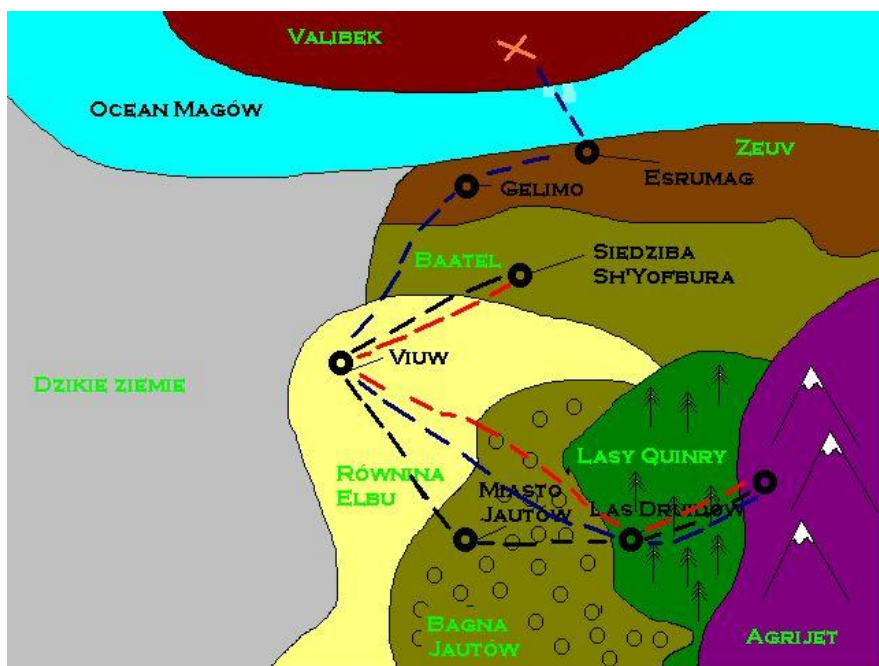
- Moim skromnym zdaniem, nie mamy już powrotu. Czas i przestrzeń to pojęcia względne, tak samo jak względny jest ruch. W tej chwili, albo Sesugg nie istnieje, albo nasza cywilizacja osiągnęła poziom podobny do tego na Ziemi. - rzekł O'Kaugeg patrząc przez teleskop na powierzchnię błękitnego globu. Miał rację. Dla nas było to kilka sekund, ale dla planet we wszechświecie ponad trzy tysiące lat. Podjęliśmy decyzję o lądowaniu. Przebiegło bez problemów. Stanęliśmy na szczycie jakiegoś wulkanu tuż przy czynnym kraterze. Klimat był co najmniej gorący.

- Zaczynamy nowe życie. Czy mógłbyś mi wreszcie powiedzieć, dlaczego noc poślubną obiecałeś mi dopiero na Ziemi? - spytała Xaomea.

- Teraz to już nieistotne. Zamierzam spełnić obietnicę. - odparłem odpinając Ostrze Śmierci od pasa. Wrzuciłem go do wrzącej lawy, żeby się stopił. Potępiona dusza demona uleciała w powietrze razem z parą. Byłem wolny. Tyle, że bezbronny. W ślad za mieczem do wrzątku poleciała różdżka nekromantyczna. Zeszliśmy z wulkanu podziwiając piękno otaczającego nas świata. Już wkrótce mieliśmy poznać Ziemiaków.

Rozdział XVIII - Zakończenie

Teraz mam nieco ponad dwadzieścia lat. Z początku ciężko było mi się dostosować do ziemskich warunków życia. Aktualnie mam jednak dom, rodzinę. Dwójka dzieci. O'Kaugę wykłada astronomię na uniwersytecie. Ja zająłem się elektroniką i informatyką, prowadzę firmę. Xaomea skończyła studia prawnicze, teraz jest na urlopie macierzyńskim. Najgorsze były początki. Odwyk. Musiałem odzwyczaić organizm od amfetaminy. Z nałogów pozostało mi nagminne picie kawy. Za sprawą Xaomei rzuciłem też palenie. Prowadzę spokojne, ustatkowane życie. Czasami odczuwam jeszcze pociąg do przygód i wojaczki, ale lekkie przypomnienie odwyku zaraz wytępią takie pomysły z mojej głowy.



LEGENDA:

● MIASTO

— — PODRÓŻ DO SH'YOFBURA

— — FINALNA PODRÓŻ DO VALIBEKU

AGRIJET - KRAJ

— — ODWET ZA PORWANIE

✕ MITYCZNA DOLINA

Plik jest rozpowszechniany darmowo.
 Rozpowszechnianie pliku jest dozwolone bez zmian.
 Nie wolno pobierać z tytułu kopiowania żadnych opłat
 (za wyjątkiem ceny nośnika of coz) .
 Autor zachowuje wszelkie prawa autorskie do powieści,
 imion bohaterów i nazw miast(krajów).

© by SteelRat, strefa51@pf.pl

Nowej wersji szukajcie: www.strefa51www.prv.pl

```

SRSRSRSRS S      S SRSRSRS S
  R    R      R R R  R
S   SRSRS  S S S  SRSRS
R   R SRSRS SRSRS R  RSRSRSR SRSRS R
SRSRSRSRS S R RR RS SR R R S
  R R SRSRS SRSRS R  R S S S R
    S S R R S S R R R S
    R R S S R SR S S S SR
SRSRSRSRS S RSRSR RSRSR SRSR S  R RSRSRSR S
  
```

Podziękowania dla:

Allona -\

Blacka - |- Już Wy wiecie, za co.

Valeski-/

Aniołka - Za odmianę życia i osobowość dla Xaomei.

Piecucha - za zainteresowanie mnie TĄ literaturą

Hetmana - za całokształt zaszczonego życia

Qn'ika - Za danie mi szansy (AM)

Oraz podziękowania specjalne dla:

Andrzeja Sapkowskiego - za bycie moim mistrzem
Renaty Kałużyńskiej - za naukę pisania dobrych tekstów
Harry Harrison - For creating Rat. The Stainless Steel
Rat.